USAŁKA.

RUSAŁKA

WYDANA

PRZEZ

ALEXANDRA GROZĘ.

CZĘŚĆ I.

WILNO.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1838.

Dozwala się drukować, pod tym warunkiem, aby po wydrukowaniu złożona była liczba exemplarzy Ustawą przepisana. Wilno 1837 d. 14 Października.

Cenzor Leon Borowski.

FANTAZYA PIÉRWSZA.

Wykołysany w piersi młodzieńczéj,
Drogi sercu świecie marzeń,
Gdzie ten jasny blask twéj tęczy?
Darmoż siłą dawnych wrażeń,
Dawném okiem szukam ciebie?
Wokoło rzeczywistość jałowa i próżna,
Jak gwiazdy, co się zatli i zgaśnie na niebie,
Tak starych twoich blasków znaleźć już nie można.

Dawniej patrzyłem w przyszłość, przede mną, koło mnie,
Rozwijała się przestrzeń ponęty i krasy,
Powabne wdziękiem kształty snuły się widomie,
Jak istoty wcielone. Gdzie te drogie czasy,

Kiedy serce najmniejszą nie gnębione troską,
Dusza potężna siłą młodzieńczych zapałów,
Wybiegając za krańce tutejszych przedziałów,
Każdy przedmiot postacią odziewała boską.

Jaki żywot! — Uczucia jak morze w odlewie
Garną pół-widnokręgu. — W około, széroko,
Gdzie oko sięga; nawet gdzie nie sięga oko,
Byłem myślą; widziałem w uroczéj postaci
Drogich sercu znajomych przyrodzonych braci.

Czy głos ludzki, czy milszej słowiczej piosenki
Brzmienie doleci ucha, to koncert aniołów.
Grzmi burza, słyszę w burzy uroczyste dźwięki,
Niebu i ziemi wspólnej muzyki żywiołów.

Myśl ma w orlich polotach z podniebnéj podróży,
Gdy spadła między ludzi: — Człowiek mocarz ziemi,
Stał mi w oczach ubrany cnoty nieziemskiémi,
W kobieciem widział skromność, blask i krasę róży.
Kobiéta z skarbem czucia, z jaśniejącém czołem,
Z licem anioła, była więcej niż aniołem.

Złączony z ludźmi czuciem, braterstwem, ojczyzną,
Czy mogłem się spodziewać pustyni dla serca?
Swiat zdał mi się bogatą, niezmierną spuścizną,
Gdzie można żyć i użyć; a ja spadkobierca!

Gdzie te bogate skarby? — Brylantowym blaskiem
Swieciły się, a zgasły jak próchna odłamek,
Był to ze srebrnej piany okazały zamek,
Stał na lodzie, dla tego obalił się z trzaskiem.

Dzisiaj wokoło przestrzeń nieżywa i pusta,
Słuch harmonii chcący wrzask niesforny głuszy,
Wyciągam długą suszą przepalone usta,
Napiłem się trucizny — dzisiaj świat bez duszy.

Fryderyk DE KRAUZE.

UŁAMEK HYMNU.

(z LAMARTINA.)

CZUŁŻEŚ w sercu zapał święty
Do szlachetnych dzieł, do cnoty;
Do występku gorzkie wstręty,
Miłość prawdy, strach zgryzoty;
Czyś zapłakał krwawą łzą,
Gdy niewinność bez obrony,
Popychana ręką złą,
Szła w przemocy groźne szpony?

Czułżeś walkę, walkę wieczną,
Którą szczęście z cnotą zwodzi,
I groźniejszą, bo serdeczną,
Co się w głębi piersi rodzi?
Czyż się człowieka wstydziłeś imienia,
Z którego niebo szydzi, gdy się ludzie puszą,
Tego dziwnego tworu z podwójnym udziałem,
Razem z błota i płomienia;
Zbyt podłego, gdy jest duszą,
Zbyt wzniosłego, gdy jest ciałem?
Czyś płakał, kiedy potwarzy straszydła,
Na cnotę, jadu wyzionęły tchnienie,
Lub gdy genjuszu skrzydła
Rozbiły się o więzienie?
Czyś się rozczulił,
Gdy słowik, co swe dzieci skrzydełkiem otulił,
Wpadł pod szpony jastrzębi?
Kiedy różę podcięła kosa nieużyta,
Kiedy dziewicę, co ledwie rozkwita,
Na łonie szczęścia dreszcz śmierci oziębi.
Czy znasz cierpki jad tęsknoty,
Do mogiły od powicia,
Nicestwo życia?
Wieczne ciasnego koła na miejscu obroty?

Nawet pijąc uroki, gdy się los przymilił,
Nim czaręś do dna wychylił,
Czyliś nie doznał nawet wśrzód szczęścia zawodu,
Tych goryczy bez powodu
I palącego pragnienia,
Przedmiotów znanych ziemi, lecz tylko z imienia?

Ciesz się więc duchu strapiony,
Pójdziesz do lepszego kraju,
Gdzie każdy ból pocieszony,
Każda żądza szczęściem raju.

Tam twych łez wylanych tyle,
Gdyś się w ziemskim tarzał pyle,
Tam twe czucia, tam zapały,
Tam westchnienia twoje szły,
Tam młodości piękne sny,
Tam twe modły poleciały.

Fr. de Krauze.

DO SMUTNEGO PRZYJACIELA.

Bracie mój młody, źle tobie na ziemi,
Ludzie niegodni i ziemia niegodna,
Bo nadto młody, skrzydłami orlémi,
Wzleciałeś w kraje dalekie od ziemi,
I tam się poisz myślami takiémi,
O jakich nie śni żadna głowa modna.

Bracie mój młody, twój smutek pojąłem,
Tyle zawodów na tej biednej ziemi,
Kochance biłem młodocianém czołem,
Często głaskałem ludzi łzami mémi,
Nic nie pomogło, dla tego, że z niémi
Grzech i zepsucie wiecznie idą społem.

Bracie mój młody! porzućmy tę ziemię,
Albo przynajmniéj tak nasz wiek przeżyjmy,
Tak chytrze znośmy tego życia brzemię,
A tak głęboko nasze myśli kryjmy,
Aby myślano, żeśmy pogłupieli,
Że brnąc wśród fałszu, prawdy zapomnieli,
Że klnąc wielbimy i ludzi i ziemię.

St. W.

POCZĄTEK POWIEŚCI POD TYTUŁEM:

ARTEM POPOWICZ.

Słyszeliście, jak wicher grzmi na Ukrainie,
Gdy tęskną pieśń zaczyna? jak smutne kurhany
Wtórzą mu głuchym jękiem: — jak po czarnem niebie
Chyże orły rozgania; — potem na dolinie,
Roskosznem ukraińskiem kwieciem całowany,
Zamyśla się, ucisza i spokojnie płynie,
I jęczy, jak rodzina na matki pogrzebie,
I wzdycha, jak samotny gołąb na drzewinie.

Takiéj pieśni gdy smutne serce się przysłucha,
I wpatrzy się w bezfarbne śpiewaka oblicze,
I wpoi się w te tony ciemne, tajemnicze;
Wtenczas pieśń wiatru niepojęta, głucha,
Rozwidnia się w słuchaczu, jak słońce w poranku,
Lub w zielonym lilija upleciona wianku.

Rok temu, kiedy razem z południowej strony,
Wiatr z ponad Rosi powiał po kijowskich górach,

Smiało leci przez stepy, lekko płynie w chmurach,
Jeszcze mu zawtórzyły smutne w cerkwiach dzwony,
Zawył mocniej, jak gdyby w starodawnem mieście,
Z pragnieniem kto na jego oczekiwał wieście.

Oh! oczekiwał na nie długo aż powieje
Sponad Bohu, z nad Rosi wiatr słodki, rzeźwiący,
Młody Artem Popowicz, posępny, płaczący,
Teraz wybiegł na wzgórek zkąd cerkiew bieleje,
Spójrzał na Ukrainę błękitną, daleką,
I stał z bijącem sercem, wilgotną powieką.

Stał i słuchał, i piersią od pragnienia wzdętą,
Chwytał rzeźwiące wiatru bożego powiewy,
Na licach jego widać było dumę świętą,
Którą w nim obudziły ukraińskie śpiewy,
W sercu smutek, co chociaż przed okiem człowieka
Zakryty, tajnym jadem zatruwa zdaleka.

A nikt mu nie przerywał téj z wiatrem rozmowy;
Wiosenne światło z nieba bez szelestu płynie,
Mgła Dniepru cichy wianek snuje koło głowy,
I cały świat usypia w północnej godzinie.
Słychać tylko niekiedy pocałunek fali,
Gdy ją promyk księżyca miłośnie rozpali.

Aż pozno, po północy, gdy znużony biegiem,
Opuści wiatr swe skrzydła, jak łabędź wędrowny,
A tem sierota z Dniepru rozstaje się brzegiem,
Mija cerkiew wysoką i zamek warowny,
Wielki mu smutek świeci i z oka i z czoła,
Lecz stokroć smutniéj w duszy u Stróża-Anioła!

St. Winnicki.

FANTAZYA DRUGA.

Choć me ciało zły los gniecie;
Krwią opłacam każdy ruch,
Lecz ja żyję w wyższym świecie,
Przez uczucia, myśli, duch.

Bracia moi, drodzy moi,
I wam zwiędniał ziemski kwiat.
Niech się oko łzą nie poi,
Za mną, za mną w lepszy świat.

Tam nam lepiéj, — świat bez brzegu,
Strzęsiem z ciała ziemski pył,
I po długim znojnym biegu,
Nabiérzémy nowych sił.

Sił nam trzeba; bo przed nami
Jeszcze długi, długi szlak,
Za przepaścią, za skałami,
Powiewa zbawienia znak.

Nieśmiertelnych wielkie cele,
Niepowinno życie gnić,
Choć trud ciężki, przeszkód wiele,
Potrafimy jednak żyć.

Ach! z radości płakać muszę,
Com w marzeniach moich chciał,
Widzę wszystkie, wszystkie dusze,
Pan Bóg w jednę duszę zlał.

Duszo moja! tyś niezłomna,
Ty nie jesteś marny pył,
Jak natura tyś ogromna,
Boś ty ziarnem wiecznych sił.

Czém są straty, czém są bole,
Ta naszego świata mgła;
Kto posiada myśl i wolę,
Ten jak słońce wieki trwa.

Myśli jego, jak promienie,
Tworzą, krzepią nowy płód;
Wyższe nad czas i przestrzenie,
Lecą wiecznie z rodu w ród.

Wola jego wszechmogąca:
Cóż, że stoi szereg tam,
Ona tamy poroztrąca,
Do niebieskich sięgnie bram.

Fryderyk de Krauze.

Z POWIEŚCI POD TYTUŁEM:

ZEMSTA CZARNEGO-BOGA (*).

WYJĄTEK PIERWSZY.

Była zatoka, dwie góry wkoło
Objęły czystéj zwierciadło wody:
Po górach, z wiatrem zielone czoło,
Chylił w dolinę las młody.

(*) *Czarny-Bóg* i *Biały-Bóg*, były to dwa bóztwa, które w staréj sławiańszczyznie jednakową cześć odbierały, chociaż każdego z nich zupełnie różne

Na czystej fali, którą wysłały,
Ze srebrnym piaskiem, muszle, kamienie,
Pięknie w odbitém słońcu igrały,
Te długie, wiotkie, zielone cienie.

I po tym lesie, co tam pod wodą,
I nad tym lasem, jak błędne kwiaty,
Srebrno-pierzaste ryby chór wiodą,
Powiéwa ptastwa orszak skrzydlaty.

Łamie się fala w tysiąc obręczy,
Z złotego iskry sypie ogniska.
A ponad falą, błędny łuk tęczy,
To się zawiesza, to się rozpryska.

---

były przymioty. Samo nazwisko Czarnego-Boga, z dwóch słów *bóg* i *czarny* złożone, dostatecznie przeświadcza, iż nie co innego przez nie Słowacy rozumieli, tylko to, co my djabłem nazywamy. Przez słowo *Bóg*, znaczyła się u nich jakaś wszechmocność; kolor zaś czarny brany był zawżdy za posępność: a że djabłu z natury jego, acz mało znanéj, przypisywano moc razem ze złością jakąś połączoną, ztąd podobno te sklejone *Boga-Czarnego* u Słowianów dla niego urosło przezwisko.
(*Hist. Narodu Pols. pr. A. Narusz. T. I. Cz. 2. Ks. III. str. 341.*)

A po tym łuku z fali w niebiosa,
Z niebiós na falę zlatuje, płynie,
Wykwitłéj z piany, równa boginie;
Modrego oka, jasnego włosa.

Lekka, powietrzna, cudna istota,
Kąpie się w słońcu, w falach się pławi,
Przy niéj dokoła rybka się bawi,
Dokoła ptastwo skrzydły trzepiota.

Ona się ślizga z brzega do brzega,
Ze złotej dłoni muszle, żwir sieje,
Rybka w jej białe ślady zabiega,
W jej ślady ptastwo skrzydłami wieje.

Już dogoniły: pierzchła do góry,
Błysnęła w tęczy i znów na toni:
Znów za nią ptastwo uderzy pióry,
Znowu się za nią rybka pogoni.

Znów dogoniły: na brzeg uleci,
Za szatę, kwieciem siebie potrząsa:
Z kryjówek leśne wywabia dzieci;
Biegną, pląsają; bieży i pląsa.

Cudna istota,... po téj zatoce
Niegdyś się tłukły mewy i sępy:
Orzeł z rozbojem gościł w opoce,
A ryś nadbrzeżne krwawił ostępy.

Zaledwo ku téj wionęła stronie,
Sępy ucichły, pierzchnęła mewa,
Młody bluszcz okrył opoki skronie,
Z każdego pieśni trysnęły drzewa.

I przy tych pieśniach lasu mieszkańce,
Gdy głośniéj radość dzwoni w ich sercu,
Wiodą wesołe, ochocze tańce,
Po łąk nadbrzeżnych kraśnym kobiercu.

Cudna istota, pusta, wesoła;
Lecz wśrzód pustoty, lecz wśrzód wesela,
Dla czegoż wzrokiem obłędnym strzela,
Traci pogodę jasnego czoła?

Głośniej zaśpiewa powietrzna rzesza,
Zwierz zatańcuje, zaszumi fala,
A ona wstydem lica zapała,
Na wodach, lasach, oko zawiesza.

Pierś głębiéj wzdycha, łzę oko roni,
Wtém, po niebiosach przejdzie płat chmury,
W oczy zaświeci kruk czarno-póry,
I ona spada, znika wśród toni.

WYJĄTEK DRUGI.

Biały-Bóg objął niebiós namioty,
Gwiazdy pod jego nogami świecą:
Gdy w niebo nasze kadzidła lecą,
Te gwiazdy ku nam toczą wzrok złoty.

Błogo Białemu ślubować Bogu,
Czarny-Bóg stoi na piekieł progu,
A u nóg jego leżą otchłanie,
Dla niego tylko nasza łza kanie (*).

Nasze ołtarze ciepła krew broczy;
On jeszcze ku nam srogi wzrok toczy,
A na kim dłużéj oko zatrzyma,
Tego i w wiośnie pobieli zima.

(*) Wyraz ten w starej polszczyznie często używany, *kanie*, to jest co kapie, albo kroplami spada.

Biały Bóg nasze hoduje trzody,
Kłosami niwy nasze wyzłaca,
Upuszcza deszcze, sprawia pogody,
Cieszy go nasze zdrowie i praca.

Czarny-Bóg idzie okryty mgłami,
Wlokąc za sobą głód i pomory.
Cieszą go puste łany, obory,
Ni go ubłagać ni krwią, ni łzami.

Biały-Bóg naszej weselnéj parze,
Jaśniejszym z nieba świeci promieniem;
Dla niéj posyła z ślubnym pierścieniem,
Błogosławieństwo ojcowskie w darze.

Czarny na gody milczkiem się wkrada,
A za nim idzie poswar i zdrada:
Często poranka okrzyk godowy,
Zamieni wieczór w płacz pogrzebowy.

W dni najweselsze wiosny i lata,
Biały-Bóg z niebios na ziemię spływa:
Kwiatów i liści majowa szata,
Z piersi do białych stóp go okrywa.

Wzrok ma weselszy niż słońce w wiośnie,
Tchnienie rzeźwiejsze od wiosny tchnienia,
Gdzie tylko spójrzy, tam kwiat wyrasta,
A gdzie tchnie, kłos się bujny rozplenia.

Czarny-Bóg w wiośnie i jasnem lecie,
Nocami tylko błądzi po świecie;
Lub okręciwszy płachtami głowę,
I na rozdrożach, na cmentarzyskach,
Stérczy, jak stérczą głazy grobowe.

W jesieni kruki wprzągłszy do chmury,
Objeżdża stepy, lasy i góry.
Do serca ziemi wichrem kołata,
Lasy okrywa, stepy zamiata.

A. Groza.

WYJĄTEK Z PISMA POD TYTUŁEM

SZKICE KONTRAKTOWE.

WYJAZD Z WASILKOWA.

Wyjeżdżając z Wasilkowa, kazałem konie wstrzymać i z góry przez chwil kilka przypatrywałem się temu miastu. Krom kilkunastu domów w rynku, noszących piętno nowszej architektury, Wasilków jest jeszcze tém, czém był przed laty; drobne jego chatki jak gniazda jaskółcze, wieszają się po górach, w nich żyje lud ciemny i pracowity; zmieniali się nad nim panowie, niszczyli i odbudowywali zamki; okopy świadczą, że

tu były ogromne warownie: dziś po okopach chodzą krowy, skaczą kozy. Historya Wasilkowa starożytna i ciekawa; kiedy Kijow świecił blaskiem chwały, wówczas i Wasilków podniósł się na stolicę jednego z książąt. Każde żywsze wstrząśnienie w sercu Kijowa i tu się odbiło. Familijne książąt niezgody, nieszczęśliwe wojny, nieraz wystawiły to miasto na rzeź i pożogę; a kiedy Kijow coraz bardziej zaczął tracić ze swego blasku, naówczas i Wasilków, jak wszystkie inne większe miasta, w tej stronie, upadł zupełnie. Kto chce zaspokoić swoję ciekawość, niech przerzuca dziejopisów polskich i rossyjskich, a nade wszystko niech zbiéra tradycye pospólstwa, rozczytuje się w starych dokumentach, grzebie w mogiłach: ale kto przychodzi z duszą wierzącą, z sercem pełném czucia, ten, na tych górach, okopach, nie jednę chwilę roskosznie przemarzy: imaginacya wskrzesi mu przeszłość tak uroczystą, wywoła cienie przodków, i te pustki życiem napełni.

We wszystkiém w Wasilkowie widocznie

przemaga pierwiastek rossyjski: domy odmienną architekturą budowane, Żydów tyle ile u nas, ale ci, lepiej i więcej mówią po rossyjsku, niż po polsku. Pod Wasilkowem kończą się ukraińskie równiny; lasy, z którémi od Białej-Cerkwi spotkać się nie mogłeś, tu ciągną się nieprzerwanie ku Dnieprowi. Lecz myliłby się bardzo, ktoby myślał, że to są owe lasy, tak sławne w dawnych wiekach, siedziba pustelników, gniazdo wielkiego zwierza; książęta z nich budowali pyszne zamki, ogradzali niemi miasta: podania głoszą, iż na pniu ściętego dębu mógł się obrócić pług z sześcią wołami! jakże teraz niepodobne do siebie, zkarłowaciały, zkoszlawiały, jakaś nędza je przygniata, choroba trawi: pigmeje nie podołają okryć pagórka, na którym rosną; przez ich zielone gałęzie przeświecca się żółty piasek, dzika trawa nieraz od nich bujniejsza! miałażby się ta ziemia z pożywnych soków wytrawić, niedbałość ludzka dojśdź do tego stopnia?—O nie! tego wyniszczenia musi bydź jakaś inna przyczyna; dojrzałem na widno-

kręgu, kędy najżywiej biło słońce, wysoki mur zielony.... A jednak trzeba wyznać szczerze, okolica ta, przez wyniszczenie lasów, stała się prawdziwie romantyczną: góry odsłoniły czoła, jary rozwarły boki, bieży oko z urwiska do urwiska, z kurhanu do kurhanu, z okopu do okopu, bieży i tysiąc wspomnień obudza w twojej duszy. Tędy szły karawany Wschodu i płynęły strumienie żywej Wiary. Rusini, Polacy, Połowcy, Pieczyngi Berendgi, Czarne Kolbuki, Tatarzy, Turcy. Nie ma i piędzi ziemi, aby jej krwią swoją nie skropili; popruchniałe czaszki, miecze i kolczugi, co rok wiosenne wymywają potoki. Tu stał klasztor jakiegoś świętego bractwa, tam w podziemnych lochach siedział czarownik, lub zbójcy się kryli; tu zamordowano ś. męczennika, a tam wielkoluda kości wykopują; tu palą się skarby lub jęczy dusza zaklęta, a tam tłuką się wiedmy, czarci chychoczą: mimo dusz zaklętych, wiedm i czartów, wszędzie mieszkają ludzie, którzy o tem wiedzą, rozpowiadają; życie ich częstokroć podejrzane:

Żyd i w dniu białym sam jeden tędy nie pojedzie. To zdziczałe plemie, jakże srogiém bydź musiało, gdy policya nie umiała, jak teraz, każdego członka społeczności trzymać na oku, gdy Zaporoże dla wszystkich było otwarte. Gdyby jaki Walter-Skot zabłąkał się w te strony, gdzie tyle się spełniło politycznych wydarzeń i prywatnych zbrodni, gdzie natura taka rozmaita, powietrze czyste, ziemia żyzna; ileż w kształtach przyrodnich, miejscowych, nie napisałby powieści, nie wyimprowizował poematów: ale my wolimy bujać między niebem a ziemią, jak duchy wygnane, jak ptaki, któremi wiatr gdzie chce rzuca. A cienie wielkich przodków oczekują swej czci; na ich mogiłach rosną kwiaty, któremi się oni w dzieciństwie bawili; na ich mogiłach brzmią pieśni, któremi ich matki do snu kołysały. Czemuż z tych kwiatów nie uplatamy im wieńca, czemuż z tych pieśni nie układamy pieśni dla nich?

. . . .

ZJAZD Z PECZERSKIEGO NA PADOŁ (*).

Z Peczerskiego na Padoł, lubo prowadzi droga porządnie skopana i opatrzona poręczami, mimo to, w czasie kontraktowym nieraz spotykają na niej nieprzyjemne wydarzenia. W czasie kontraktowym Padoł staje się bazarem kupców moskiewskich, petersburgskich, warszawskich. Przyjeżdżają tu possessor rachunkowy i dziedzic potrzebujący kredytu; adwokat wymowny i żyd przebiegły. *Glücksberg* przywozi swoję księgarnią, *Lipiński* skrzypce, a P *Roppe* żelazną buławę, którą jak pręcikiem wywija; cóż dopiero mówić o drobniejszych spekulantach na furkę siana, faskę masła, kojce drobiu: wszystko to tłoczy się na wielką drogę, dążąc do jednego celu do Padołu, w którym jak kamień w wodzie ma utonąć. Naówczas tworzą się dwa prądy, płynące ku sobie w przeciwnym kierunku, jednakże nie

(*) Kijow teraźniejszy składa się z trzech miast: starego Kijowa, Peczerskiego i Padołu.

bez poprzedniej zobopolnej umowy, każdy z nich ma się prawej strony pilnować. Póki idą wozy kacapskie, bryki księgarzy, albo lubiauka possessorska, wszystko zachowuje swoję regułę i wymiar; lecz niech nadleci poczwórna hrabiowska kareta, albo kozyrka jeneralska, oho! wszystko wtedy w nieładzie, zamieszaniu, tłoczy się ku sobie, traci kierunek, pilnuj głowy i dziękuj Bogu, jeśli zamiast holoblą, koń twego sąsiada pyskiem cię tylko potrącił. Po obu stronach drogi krążą żandarmy nakształt aniołów stróżów, i nie żałują napomnień, niech tylko wyboczy jaki chłopek, którego niekute sanie mimowolnie przód jego wolóm zabiegają; lecz karecie hrabiowskiej, kozyrce jeneralskiej wszystko uchodzi; są to komety, którym biegu przepisać nie można, są to wiatry wiejące według własnej woli. W tej drodze i w tem co ciebie na niej spotka, masz wierny obraz tego, co ciebie na kontraktach oczekuje. Jak tu, tak i tam dąży tysiąc ludzi do jednego celu, choć każdy z innémi zamiarami. Tu z jednej strony góra, na

którą się nie wdrapiesz, z drugiej przepaść, w którą mimowolnie wleciesz; tam szczęścia, za którém się upędzasz, nie znajdziesz, a nieszczęście samo cię spotka. Tu póki jedziesz z jendykami, owsem i masłem, póty jesteś bezpiecznym, tam póki masz do czynienia z małemi ludźmi, póty cię żadna strata nie dotknie; lecz tu i tam jasny pan niech się wmiesza, tu pilnuj głowy, a tam dziękuj Bogu, jeśli twoja szkoda na procentach się skończy. Tu żandarmy krzyczą, abyś prawéj strony się pilnował; tam na nas wołają prawa bozkie i ludzkie, abyśmy sumiennie postępowali; niech przeciw nim w czémkolwiek zawini człowiek niższego stopnia, oczekuje go pośmiewisko, wzgarda, więzienie; wielkim zaś tego świata wszystko uchodzi, ich światło nie cierpi żadnego cienia: tak astronomowie wyrzucają słońcu dwie czy trzy wielkie plamy, a ono mimo to świeci i świeci.

W dniu letnim, kiedy słońce pochyli się ku zachodowi, kiedy na Dnieprze tu i ówdzie rozrzucone wysepki wydają się jak

białe łabędzie na złotém morzu, kiedy góry świecą rażącym blaskiem, a jary i wszystkie wklęsłości ciemniejszą oblekają cię barwą, kiedy każde drzewo o złotych liściach, każdy statek o złotych żaglach, kiedy świst skrzydeł przelatującej dzikiej kaczki, pieśń płynącego flisa, odgłos zadnieprskiej dudki, dźwięk wieczornego dzwona, głucha wrzawa miast, w jednę zlewa się melodyą, w hymn pożegnalny dniowi, kiedy poważne matrony z drobnémi dziatkami i weseli kawalerowie idą spacerem z Peczerskiego na Padoł i z Padołu na Peczerskie, wówczas ta droga, tak w czasie kontraktowym nieprzyjemna, utrudzająca, ma w sobie coś uroczego, zachwycającego. Jest to bulwar, jakim nie wiele w świecie miast się pochwali, jest to aleja w najspanialszym ogrodzie natury. Ruch powolny (nie jak w kontrakty) jezdnych i pieszych, uwalnia ciebie od ciągłej obawy, możesz co krok zatrzymywać się, przypatrywać, możesz rozmyślać o wielkiej naturze, o losach narodów. U nóg twoich, w głębokim jarze, nad którym krą-

żysz, płynie strumień, który obmył naszych naddziadów z pogaństwa, i uniósł do morza niepamięci religiją wyłączną, cywilizacyą i sławę przeszłości.

DOM KONTRAKTOWY.

Front kontraktowego domu zdobią kolumny, jakiego porządku nie wiem, albowiem zamiast przypatrywania się kapitelom, wolałem ogłoszenia na kolumnach poprzylepiane odczytywać. Otoż z tych kolumn odzywają się do JOświeconych, JWielmożnych, Urodzonych, P. *Fleury* dentysta i fabrykant patentowany nieszkodliwego karminu alias różu, P. *Zorgo* wynalazca nowych pachnących mydełek i olejku do czernienia zbielałych włosów; P. *Matias* właściciel wody kolońskiej i tabaki albanki i t. d.; cóż dopiero niepanów, poświęcających swe usługi z małpami, mopsikami, niedźwiedziem białym, wróblem rozwiązującym najtrudniejsze zadania arytmetyczne. Dalej wielki koncert

Lipińskiego, dalej wieczór muzykalny, jakich mało, albo Żyd grający na drewnianej harmonice; dalej opera *Webera*, wodewil P. *Skribe*; doniesienia z kuchni P. *Czoko*, świeże ostrygi, sardele; dalej uwiadomienie o nowej Encyklopedyi, Żywotach świętych; dalej garderobiana dobrze usposobiona, furman szukający obowiązku i t. d. Drzwi do domu kontraktowego także oblepione karteczkami ćwiartkowémi, półćwiartkowémi, są to doniesienia szanownej publiczności PP. *Szafnagla*, braci *Kwakrów*, *Glücksberga*, *Zilbersztejna* i innych, z ostrzeżeniem o umiarkowanej cenie, i aby raczyła się śpieszyć z kupnem dla siebie arcy-zyskownem.

Nie darmo żony zaklinają jadących na kontrakty mężów, duszko! nie rozsypuj pieniędzy; przysięga człowiek na rany Chrystusa, że każdego grosza jak oka w głowie pilnować będzie; upilnuje... upilnowałby, gdyby nie tysiąc pokus z każdej strony, a natura ludzka nie tak ułomna! Myślisz sobie, aby licho nie skorciało, nie zajrzę ani do *Szafnagla*, tego wielkiego czarnoksiężnika

ka, ani do *Kwakrów*, ani do składu sukien warszawskich, ani do *Glücksberga*, co to grosze za książki wyciąga; zapłacę procent, sprzedam wódkę, i kupiwszy jaką głowę cukru, kilka funtów herbaty, na post kawioru, marsz prościuteńko do domu. Będę sobie chodził do sali i nigdzie więcej; oh! naszym ojcóm udawały się te wybiegi, lecz nie nam, na których pokusa zewsząd oczekuje. Dawniej sala kontraktowa była tylko miejscem narad, układów, puste jej kąty każdego témbardziéj w oszczędności umacniały; a teraz znikło święte ubóstwo, kupcy wszelkie opanowali przesmyki. Uchylasz pierwsze drzwi, aż tu Jespan Włoch siedzi z przepysznémi sztychami, deseniami kanwowémi; widzisz Napoleona, wszystkie tryumfy, jego grobowiec i cień; widzisz książęcia Józefa skaczącego w Elsterę; widzisz burzę Werneta, noc Koredzia, zdobycie Gibraltaru, wybuch Wezuwiusza, kataraktę Niagary; widzisz piękną Francuzkę, Angielkę, Szwajcarkę i najpiękniejszą Polkę; widzisz konie arabskie, perskie, tureckie

i t. d.; oddajesz hołd genjuszowi artystów, Włoch podnosi twój entuzyazm, a dukaty wypadają z sakiewki. Nie możesz się nasycić twą zdobyczą, unosisz ją z sobą, aliści napotykasz wyroby wprawdzie mniej szlachetniejszego kunsztu, jednak nie zupełnie obojętne dla ciebie. Litewscy szewcy wielkiej w Kijowie nabyli sławy; dzięki Bogu nieźle im z tém się dzieje: żona w regestrzyku podkreśliła trzewiki, jakże nie kupić?

Przez rozwarte drzwi wchodzisz do sali, któréj ogromne sklepienie na wielu się filarach opiéra. Przeraża ciebie tłum, zgiełk, wieczne konwulsyjne ruchy, téj massy czarnéj, buréj, szpakowatéj; jest to gniazdo szerszéni, którym głowy dopiéro się rozsklepiły, jest to polip z wiecznie wiszącémi ramionami; rzucają mu na pastwę jabłka, gruszki, pomarańcze, on to chwyta, spożywa, znowu przynoszą, znowu spożywa, znowu przynoszą i nastarczyć nie mogą. Patrz na te twarze ostre, wzrok surowy, wąsy najeżone, na te ubiory długie, kuse, fałdziste, opięte; na czapki wykreślające wszystkie

bryły foremne i nieforemne, zacząwszy od czworoboku aż do dwudziesto-ściaau, od walca aż do przecięć ostrokręgowych. Czasem w tę kupę piorun uderzy: to *publikata*, woźny zawołał: *uciszcie się*, i umilkli:— czyta:—słuchają, przeczytał; jedna połowa ciężko westchnęła, oczekując z jutrem podobnego losu; druga, szyderczo się rozśmiała; przeszła chwila i obie znowu zawrzały, zakipiały. Jesteś cichego serca, spokojnej duszy, nie chcesz przedzierać się przez tę chmurę, wolisz skromnie krążyć za filarami, chciałbyś znaleźć jaki ukryty kącik i na ustroni, z twym przyjacielem, o interesie pomówić, aliści znajdujesz sklep norymberski; oglądasz to i owo, zapalasz się, kupujesz, złoto, srebro, fajanse, dowcipne ekramy, grające tabakierki, z domu twojego raj uczynią, sąsiedzi zazdrośnem będą poglądali okiem, żona się ucieszy, dzieci nie posiądą się z radości. Zaledwo wszystko zliczyłeś, opłaciłeś, oko się twoje zachmurza, czoło zasępia, musisz dług nowy zaciągnąć: aby go się pozbyć, musisz ucisnąć,

i tak już uciśnionych, twoich poddanych, a tobie Bóg ich powierzył, abyś był ojcem, ty przed Nim zdasz rachunek z ich szczęścia i niedoli, ich łzy i nędza spadną na twoję i twych dzieci głowę. Robak sumienia zaczyna gryźć twoje serce, rospacz całego ogarnia; aby wołający głos sumienia zagłuszyć, rzucasz się w tę wzburzoną falę, w ten tłum szalony. Jeżeliś nic nie kupił, albo mówiąc szczérze, nie miałeś za co kupić, patrząc jak drudzy na zbytki szafują, ty mając tysiąc prawdziwych potrzeb, rozkrwawiasz tylko twe serce. Myślisz sobie, żona moja nic nie potrzebuje, dzieci moje nic nie potrzebują; ale ach! żona moja kobiétą, jaki niekosztowny dla niej ubiorek, dla dzieci jaka nowa sukienka, jakże byłyby szczęśliwemi! Zaraz wyobrazisz sobie twój dom wiecznie pusty, sługi odarte, powozy popsute, stół mizerny, żonę smutną, dziatki dziko rosnące, których nie masz ani czém okryć, ani za co uczyć: przypomnisz sobie twe poranne nadzieje, które się marnie rozchwiały, talenta, któreś twoim pługiem do

ziemi zakopał: życie twoje wyda ci się nieznośnem brzemieniem, łza błyśnie na oku; a widząc szaleńców, co się śmieją, marnotrawców, co rozsypują krocie, przekłniesz cały ród ludzki, teraźniejszość, przeszłość i przyszłość.

Znowu kolumny z karteczkami, tylko trochę odmiennej treści, są to ogłoszenia majątków wypuszczających się w possessyą lub przedaż wieczystą; pod każdą kolumną zbiegają się kontrahenci, czytają, w pugilaresach notują, a dziedzic w przyzwoitém oddaleniu upatruje w tej grupie swego nabywcy; czasem znienacka się przybliża i rekomenduje: o! nie dobra to wróżba, musi nad Jegomością wisieć publikata, wierzyciel stoi na gardle, nim tradycyą uderzy, dziedzic jak może się wykręca; są to ostateczne ruchy; po nich poznać życie w przesileniu.

Oparłszy się o filar przypatrywałem się człowiekowi, a raczej ludziom. Polacy, Rossyanie, Żydzi, Niemcy, Francuzi, Bucharowie, Tatarzy, Grecy, Bóg wie nie kto krążyli koło mnie; w ich wejrzeniu, obliczu,

mowie, ubiorze, widać widoczne wpływy klimatu, religii, zwyczajów; ale pod tém odzieniem rozmaitego kroju, w obliczu rozmaitego kształtu, we wzroku raz bystrzejszym, drugi raz słabszym, zawsze dojrzysz duszę nieśmiertelną, odzianą kajdanami skazitelnego ciała. Z całego tłumu najbardziej uwagę moję zajęli skąpcy, spekulanci, bogacze, utraciusze i ludzie fortuny, którzy nie sieją, ani orzą, a Ojciec Niebieski żywi je.

Skąpiec cichuteńko krąży koło filarów, okryty albo przeszarganą wilczurą, albo wypłowiałym płaszczykiem; nacisnął czapkę na uszy, aby nie słyszeć proszących o pożyczenie pieniędzy; oblicze jego wybladłe, wzrok zamglony, jest to trup chodzący, przez cały rok rozdzielony z swą duszą; oto zbliża się chwila połączenia duszy z ciałem, zagląda w kalendarz, patrzy na zegarek, na rewers, który pod sercem nosi; dłużnik uiszcza się, jaka radość w obliczu, światło w oczach; ale ta radość, to światło, gaśnie na pierwszą myśl, iż pieniądze bez lokacyi

bydź nie mogą. Niechże się dłużnik nie uiści na terminie, ta mdła, słaba istota, okazuje najwyższą energiją i zawziętość; jest to lwica broniąca swych dzieci, śpiący krokodyl do walki zbudzony.

Jak cewka w warstacie tkackim, tak spekulant w warstacie kontraktowym w ciągłym ruchu, uderza o tę i owę stronę i swoję nić ciągnie dalej a dalej. Spekulant częstokroć miernego wzrostu, chudej twarzy, oczu biegających, ubiera się przystojnie, mówi lakonicznie, chodzi prędko, w nocy marzy o milijonach, we dnie rachunkiem sprawdza senne marzenia; skąpiec powoli zbija grosz do grosza, spekulant nie cierpi nudnego rzeczy obrotu, on chciałby od razu cały świat opasać złotemi ramionami; dla wszystkich grzeczny: z Panami stara się bydź w najbliższych stosunkach, gdyż z nich najwięcej ciągnie materjalnych korzyści; w ustach jego najnowsze handlowe wiadomości, w głowie wieczny rachunek; jest to chodząca tabliczka Pitagoresa, szczoty kupieckie; przyzwyczajony

do rachunku, wszystko chciałby sprawdzać liczbami, nieprzyjaciel zabity uczuć, sentymentów; sztuki piękne uważa za marne bawidło, badania naukowe, pojęcia filozoficzne o tyle ceni, o ile te mogą się przyczynić i zastosować do rękodzieł i handlu; on chciałby całą społeczność ludzką przerobić na machinę kującą pieniądze, *nota bene*, dla niego. W opinijach tak zmienny jak chorągiewka na jego dachu, z której strony wiatr szczęścia powieje, tędy i on się obraca. Całe życie trwoni na obliczaniu skarbów, a najczęściej umiera w nędzy, jest to Tantal nieszczęśliwy; pies niosący mięso przez rzekę.

Na śrzodku sali okazują się dwie czy trzy głowy nieruchome, niby dwie czy trzy gwiazdy stałe, około których, cały kontraktowy systemat solarny swój bieg odbywa. Są to bogacze, pierwiastek najważniejszego złota wniknął do ich kości, krąży ze krwią w żyłach; ztąd w ruchach powolni, w wejrzeniu zimni, w obliczu surowi. Przesyceni złotem, w przyjaźni, miłości, szukają tylką ciężaru

gatunkowego: nim człowieka ocenią, wprzódy biorą na wagę, im bardziej opada na dno, tym do nich podobniejszy, tym milszy. Wszelki pierwiastek eteryczny, jako nie wchodzący w skład ich istoty, zupełnie im niepojęty; delikatne czucie piękności, czysta miłość, entuzyazm poświęcenia siebie dla szczęścia drugich, nie do nich należy. Widząc jak tłum służebny cisnął się do bogaczy, schylał przed niémi głowę, szyję wyciągał, lica wykrzywiał, nieraz brała mnie chętka zawołać: «Ludzie, bracia moi, nie czcijcie złotych cielców; chcecie dogodzić potrzebie, bieżcie do prawdziwego Boga, chcecie dogodzić zbytkowi, bieżcie do prawdziwego Boga, wszak On zarówno mech skalny i różę stulistną żywi i utrzymuje, wszak Jemu jedno, czy ubrać nagie wróble szarémi piórkami, czy rajskiego ptaka w kolory tęczy ustroić, a wasze oblicze Bóg stworzył na swoje podobieństwo, a w waszych oczach goreje dusza nieśmiertelna; oblicza wizerunku Boga i oczu zwierciadła duszy nie kalajcie ziemskiem błotem.»

Chwila uwagi zamykała mi usta, wszak to samo co niedziela prawią z amboń kaznodzieje, czemże są ich głosy?—grochem odbitym od ściany.

Któż to przeciska się w perłowym redyngocie, z bakenbardami starannie ułożonémi, w ślicznym halsztuchu, w okularach, kapeluszu jedwabnym; lichwiarze znają go od czasu jak wyszedł z opieki, i szepczą sobie do ucha: to utracjusz. Przyszedł on nie dla interesu, lecz aby się dowiedzieć, jak nazywa się ta miła brunetka, którą widział wczora w teatrze, pochwalić się przed przyjaciołami, że przegrał 500 dukatów i zaprosić ich do siebie na djabełka. O jego interesach wie jego plenipotent, o finansach arendarz. Wesoły, dowcipny, częstokroć szlachetnego serca, gorącej duszy, obdarzony imaginacyą ruchomą, pragnącą nowości, namiętną, w wiecznej walce z wszelkiem scisłém wyrachowaniem. W czasie przyzwoitym, przy okolicznościach przyjaznych z tej mieszaniny złego i dobrego, nieraz daje się znakomity mąż wykształcić; lecz jeżeli cal-

kiem przylgnął do świata, jeżeli został więźniem namiętności, spożywszy skarby duszy, ślepemu bóztwu zaprzysięga cześć, wiarę, i jak ptaki niebieskie, nie zna dachu, albo raczej każdy dom dla niego dachem, przyjaciel wszystkich i niczyj; doradźca nawpół zepsuty młodzieży, żyje aby zaostrzać namiętności i stawać się ich ofiarą.

Z takich i tym podobnych części składa się ciało kontraktowe. Filozof, moralista, pisarz sceniczny, niech idą mu się przypatrywać; nie jedna myśl głęboka, scena śmieszna wzbogaci ich pióro; lecz poeta, który żyje w ideałach, którego dusza pełna lirycznych uniesień, po cóżby tu przychodził? Jakież na nim zrobią wrażenie te wykrzykniki: «Panowie! nie wierzcie tym co w ka«pełuszach, sześciu mnie już zdradziło; al«bo: uwiodłeś, zgubiłeś mnie z żoną i «z dziećmi; albo: żebyś konał, wydrę ci «z gardła, jak psa wyrzucę na śmiecie.» Wolałbym bydź w szpitalu, w domie obłąkanych, tam boleść tłumacząca się jękiem,

nieszczęście śmiechem, łzy mi wycisną; a tu sam nie wiém, czy mam się śmiać, czy płakać.

ZŁOTA BRAMA I WIDOK Z GÓRY Ś. ANDRZEJA.

Ogłuszony dwugodzinną wrzawą, opojony duszącą parą, wybiegłem z kontraktowej sali dla ochłodzenia się i rozerwania. Zegar wybił 11, do obiadowej pory było jeszcze daleko, znajomych prawie wszystkich porzuciłem na sali. Jakby przepędzić ten złamek czasu sam nie wiedziałem: razem wpadła mi w oczy góra panująca nad Padołem i Cerkiew Sgo Andrzeja; usłużny za pieniądze zwoszczyk wiózł mię natychmiast tamtędy. Niebo było zamglone, śnieg pruszył; przy zawrocie na Stary-Kijow, zapytał zwoszczyk, czy nie chciałbym odwiedzić złotej bramy; przystałem na jego projekt, chociaż, mówiąc szczerze, nie bez pewnego ociągania się. Wiedziałem, że mi

przyjdzie rozczarować się z dziecinnych urojeń, a które pamięć wierna pierwszym wrażeniom dotąd nieskażenie przechowywała. Wiedziałem, że mi pokażą kawał żebra, piszczela, i powiedzą, że to mamut; tylko powinienem podług tych rozmiarów złożyć szkielet, powlec ciałem, okryć skórą. Na cóż mi ta skala budując podług niej zwierzę, i lękając się, abym nie przesadził, niezawodnie, kiedy Bóg stworzył olbrzyma, ja karła utworzę.

Któż z nas w dzieciństwie nie nasłuchał się, nie naczytał o szczerbcu Bolesława Chrobrego, o złotéj bramie? W dzieciństwie nie znamy znaczeń przenośnych, naciąganych, poźniej nas uczą, że inaczej potrzeba myśleć, a inaczej mówić, tak jedna z ulic teraźniejszego Kijowa, może najuboższa, nosi milijonowej nazwisko. Archeologowie utrzymują, iż nigdy rzeczywiście złotej bramy w Kijowie nie było, ale tak utrzymując, z jakiegoż uroku odarli starożytne Sławian gniazdo? Miasto o złotych bramach, to coś więcej nad Homeryczne

Teby. Owidiusz w pałacu słońca opisywał złote podwoje, imaginacya nasza biegła w ślady auzońskiego poety, i na siedlisku swych ojców sprawdzała jego poetyckie marzenia. Miasto, w którym żelazne Bolesława IIgo rozniemogło się ramie, w którém tysiące jego rycerzy zapomniało, na lat kilka, o swej ojczyznie, musiało bydź siedliskiem wielkiego dostatku, zbytku. Ale i temu faktowi nasz wiek sceptyczny zaprzecza; trzeba koniecznie przeszłość odrzeć z uroku, wszędzie pokazać proch i nicestwo.

Przed dwoma kawałkami muru nagle się zwoszczyk zatrzymał. Była to złota brama; przynajmniej tak nas naucza napis na jasnej blasze pięknie wyryty; lecz wolałbym go z mozolą z omszonego kamienia, z liter wpół runicznych wyczytywać, wówczas w sercu mojem byłaby żywa wiara, bo z własnego przekonania wynikła. Ale i ten napis zapewne nie bez gruntownych położono dowodów; więc witam was szczątki pruchna z trumny wielkiego miasta, przyjęła was do swego łona matka ziemia, szczę-

śliwe ziarno, przespałoś w cichém ukryciu zimę nieszczęść i poniżenia, dziś znowu witasz dzień słoneczny, znowu widzisz marzących o twéj sławie. Wał, w którym ten szacowny szczątek starożytności spoczywał, na kilka sążni z jednéj i z drugiéj strony rozkopano. Chodziłem w około i potrząsałem głową; nareszcie kazałem się wieźć daléj.

Nie wiele mnie zajął Sofijski monaster, mnisze siedlisko i zewnątrz surowością trąci. W kształtniejszych rozmiarach zbudowana cerkiew S. Andrzeja; stoi ona na najwyższym cyplu góry, tak wspaniale wydającej się z Padołu. Po kilkudziesiąt wschodach wszedłem w obwód parkanu tę cerkiew opasującego. Wzrok mój nie mógł się oswoić z tą niezmierną nade mną i pode mną przestrzenią. Nade mną było niebo bławe, przymglone pruszącym śniegiem, pode mną, przepaść różnowzora, różnobarwa. Słuch uderzyły zarazem głuchy zgiełk i wrzawa, były to pomieszane głosy dzwonów, ludzi, psów, koni, huk bruku, szczęk oręża prze-

chodzących żołnierzy, bezustanne snujących się kawek wrzaski. Wytężając oko powoli, zacząłem oddzielać przedmiot od przedmiotu, jakże ztąd lichémi największe wydają się budowy, każdy dach prawie przy ziemi, tylko od niej kolorowym paskiem oddzielony; ludzie, konie, powozy, snują się jak lalki na wertepie, patrzając w te czarne ruszające się automata, tracisz wyobrażenie wszelkiej ziemskiej wielkości; przy poziomie ich znaczenie i potęga; wznieś się wyżej duchem i oczyma, a nazwiesz to wszystko cieniem wiejącym, mgłą nocną. Szukałem naszego sławnego Dniepru, spał on lodem spowity, po nim spokojnie przeciągały ładowne fury z Małorossyi.

Dwa białe obłoki, podobne śniegiem obsypanej górze, powoli się rozwarły, z ich niezmiernej szczeliny wypłynęło słońce. Zazielenił się daleki las sosnowy jak wieniec na skroniach śmierci, okryły się rumieńcem gdzieniegdzie ze śniegu przetarte Dniepru lody. Kawał żagla zapomniany na maszcie kupieckiego statku, zdał się bydź złotym

obrazem wiszącym w powietrzu; każdy krzyż, każda kopuła żywym ogniem gorzała i całe miasto, jakby wyszłe z powodzi, podrosło, konie, ludzie, powozy, większej nabrały postawy. Niebo i ziemia pokazały się takiemi, jakiemi je Pan Bóg utworzył. Biegło oko w tę przestrzeń jasną, błyszczącą, wieszało się na lasach, czepiało na górach. . .
. . . .

Alexander Groza.



MODLITWA STARCA (*).

Cokolwiek miałem lubego na ziemi,
Żonę i dziatki, przyjaciół i krewnych,
Wszystkoś mi Boże! wszystkoś mi odebrał.
Niegdyś, Wszechwładco, prośbami mojemi,
Z pokornem sercem, wpośrzód westchnień rzewnych,
O długie życie u Ciebiem żebrał,
I Tyś wysłuchał modłów Twego sługi,
Dając wiek długi.

Lecz ach! jak byłem w mych prośbach niebaczny,
Na toż dni tylem u Ciebie wyprosił,
By szczęście moje wzięło bieg opaczny,
Bym tyle grobów gorącą łzą zrosił:
A dzisiaj błagał, u Twojego tronu,
Mojego zgonu!

(*) Z prawdziwego zdarzenia.

W młodości mojéj w stepów oceanie,
Widziałem jedno samotne badyle
Zwiędłe i zeschłe, od wiatrów miotane.
Jak to badyle, ja dziś jestem, Panie!
Osamotniony, gdy o własnéj sile
Kroku nie stąpię, z łoża nie powstanę,
Kija w osłabłej nie utrzymam dłoni.
Oko łzy nie uroni!

Smutny stan taki, patrz Stwórco potężny,
Jak wszystkiem dzisiaj powytężał siły,
By wyjśdź przed chatę: a na kiju wsparty,
Modli się, Panie, starzec niedołężny,
Ze wszystkich wdzięków życia odarty:
Daj mu co rychlej wstąpić do mogiły!

Wszak hołd tysiąca ożywionych tworów,
Którym wiosna dzisiejsza powabów udziela,
Hołdem powinnym, dla wszechwładnéj ręki,
Wszak pieśń rozliczna napowietrznych chorów,
Którą się obszar świata rozwesela,
Jest pieśnią Tobie należnej podzięki;
Poprzestań na tych, a starca przy grobie,
Wezwij ku sobie!

Erazm Jeżopolski.

FANTAZYA.

Czém dziś świat dla mnie, a czém ja dla świata?
Pytam sam siebie, i aż z głębi duszy
Wywołuję uczucia, które mię z nim łączą;
Ale w téj duszy, jak w mętnym potoku,
Zaledwo dojrzeć odbite postaci:
Lub jak w sercu dziewicy trudno co wyczytać,
Trudno zarys myśli schwytać,
Gdy go piérwsza miłość wzruszy;
Gdy z niknącą swobodą nieznacznie się splata
Czarowny widok dalekiej krainy,
W której nieznane widziadła się plączą,
W którą dziewica poglądając z trwogą,
Sni o niej ledwo wierząc, że już weń wstępuje;
I chociaż na jej oku,

Czasem łza się zakrysztali;
Łza tęsknoty, udręczenia,
Jednak drżącą stąpa nogą,
Coraz daléj, coraz daléj.
O! bo ścieżka miłości, przed okiem dziewicy,
Bardziej jeszcze niżeli nam się ukazuje,
W umajonéj roskoszą i nadzieją szacie.
Tak dzisiaj w mojéj duszy trudno co pochwycić:
Smutno w niéj, czczo w niéj, jak na stepów łanie,
Gdy jesień zwarzy trawki zniszczy kwiaty, zioła,
Zaszcleści zmrużone liście po burzanie,
I wiosny przeminione pamiątki wywoła.

Był ten czas, gdy mi ziemia, gdy mi ten świat cały
Był ogrodem roskoszy, był mi niebem, rajem;
Tysiące w nim piękności duszę porywały,
I myśl łąką nadziei płynęła ruczajem;
Ruczaj wezbrał się w potok i z szumem wypadał
Z kryjówek, źrzódła garnąc w swoje męty:
Szczęście życia całego, roskoszy ponęty,
Urok miłości, powaby przyjaźni,
Słodycz związków rodzinnych, towarzystw zabawy
I odbite o przyszłość echo głośnej sławy,
I aż w głębinach niebiós przepadał;

Wtém burze się wezbrały, i obłok ponury
Przemknął się po obszarze mojéj wyobraźni,
Za nim kilka wybiegło, złączyło się w chmury,
W chmurach się zajął płomień błyskawicy,
A odblask jego rozjaśnił czeluście krainy,
Obcéj jeszcze méj źrzenicy.
I wtém grom wypadł, wichry zaszumiały,
Potok mych myśli w uragan skręcony,
Zwinął się w kłęby gadziny,
Potém znowu się rozwinął,
Znowu się splątał, rozpierzchł się i zginął,
Potém się deszcze moich łez polały,
I témi marzeń moich grób został zroszony.

Erazm Jełopolski.

WYJĄTEK Z TRAGEDYI SZEKSPIRA

HAMLET.

AKT III, SCENA II.

HAMLET (*wchodzi nie widząc* OFELII).

Zyć albo nie żyć: to moc zapytania!
Cóż godniejsze jest duszy w tej pielgrzymce życia?
Czy w zapasach z nieszczęściem walcząc od powicia,
Kielich gorzkich męczarni pić aż do skonania.
Czy siłą moc odpierać, podnieść się w cierpieniu?
Zniszczyć życia łańcuchy, zdeptać kwiat zerwany.
Umrzeć, spać, jest to jedno. A w senném złudzeniu,
Stracić serca boleści, zgoić jego rany.

Jaki cel!.... téj przyszłości duszą trzeba żądać.
Umrzeć, spać: lecz jeżeli śpiąc marzyć będziemy,
I tam jeszcze swych cierpień szkielety oglądać?
Gdy uchodząc przed słońcem, na stosie spoczniemy
O jak trudna zagadka... To więc nas przykuwa
Tak potężnie do życia, na ziemi wstrzymuje;
Bo któżby wziął ten kielich, który złość zatruwa?
Kto zniósłby uśmiéch wzgardy, którym świat częstuje?
Krwawe rządy tyrana i możnych męczarnie,
Zaprzedane sumienia, słabą praw powagę,
Widok cnoty i zasług, co ciérpią bezkarnie?
Któż zniósłby? kiedy można jednym tylko razem
Wszystko w wieczną niepamięć potrącić żelazem?
W niepamięć! Któż powiedział? któż ztamtąd powrócił,
Kto stanął przed odkrytą przeznaczenia księgą?
Niepewność!... to myśl straszna!... Bóg ją w duszę rzucił
I zachwiał naszej woli żelazną potęgą.
Tu cierpim, tutaj w męki swą duszę wplatamy,
Lecz nie śpieszym w pielgrzymkę, bo celu nie znamy.
Sumienie więc ten przestrach do duszy nam wléwa.
Na widok martwych liców, oziębłej rozwagi,
Znika jasny blask życia, co wolą odziewa,
I uniesienia pełne życia i odwagi,
Wstrzymują swój lot chyży, do serca wracają,

I tam smutne, milczące na wieczność zostają!
Lecz dosyć... dosyć tego. Ofelija wchodzi.

OFELIJA.

Mój książę! dawno nie wiém, jak się wam powodzi?

HAMLET.

Dobrze; za pamięć dziękuję. —

OFELIJA.

O! tej godziny,
Panie, dawno pragnęłam, w której was zobaczę,
I dawnych waszych uczuć dla mnie przypomnienie;
Te pamiątki wracając, wszystko wam przebaczę.

HAMLET.

Nigdym ci ich nie dawał.

OFELIJA.

Ach czyż to marzenie?
Marzenie? wszak pamiętam, kiedyś mi je dawał,
Jaki urok tajemny otaczał te dary,
Jak język twój słowiczéj mowy dźwięk udawał.
Teraz ich blask stracony: odbiérz twe ofiary,
I wiérz, w szlachetnéj duszy, smutnie się odbija
Ten dar, który nam ręka bez serca podaje.
Odbiérz je, Ofelija zawsze tobie sprzyja.

HAMLET.

Ha! ha! a więc ci jeszcze poczciwość zostaje!

OFELIJA.

Panie!

HAMLET.

Piękność przy tem.

OFELIJA.

Na czém się to skończy!

HAMLET.

Że gdy w sercu masz cnotę, a na twarzy róże,
Niechże się twoja cnota z pięknością nie łączy.

OFELIIA.

Cóż lepszą towarzyszką dla wdzięków bydź może?

HAMLET.

O tak! lecz prędzéj cnoty przeczyste oblicze
Piękność szatą okryje bezwstydem skalaną,
Niż ją ozdobią cnoty sukienki dziewicze.
Był czas, gdy myśl takową przypuszczeniem zwano;
Ale dziś jest pewnikiem. Niegdyś cię kochałem.

OFELIJA.

Nadto temu wierzyłam.

HAMLET.

Po cóż było wierzyć?

Kwiat cnoty się nie wije na drzewie spróchniałém,
Dawnych starych skłonności nie można uśmierzyć;
Jam cię nigdy nie kochał.

OFELIJA.

Oh! czemuś mnie zwodził?

HAMLET.

Uciekaj i w klasztornej zamknij się mogile;
Czy chcesz, aby ród grzesznych z ciebie się wyrodził?
Wszak dosyć ich na ziemi; mojej nie wierz cnocie,
Bo ja sam czemże jestem? zawiniłem tyle,
Iż lepiej było w matki zaginąć żywocie.
Duma, zawiść i zemsta, w mém sercu się lęgną.
A tyle się już grzechów w mojéj duszy tłoczy,
Iż myśli me ich biegu nigdy nie dosięgną,
I czas ich swojem kołem nigdy nie otoczy.
— O! po cóż tacy ludzie, jak ja, tutaj żyją?
Snując się jakby z piekła i z nieba wygnani!
Niewierz nigdy mężczyznom, w sercu jady kryją.
Uciekaj do klasztoru. A gdzie ojciec Pani?

OFELIJA.

Mój ojciec? w domu teraz.

HAMLET.

Każże drzwi pilnować,

Ażeby świat nie widział jak błazna udaje.
Zegnam Panią....

O f e l i j a.

O Boże! Ty się racz zlitować

H a m l e t.

A jeśli wyjdziesz zamąż, za posag ci daję
To przeklęctwo: że gdyby twa dusza
Tak białą jak śnieg była i czystą jak lody;
Niech potwarz twą niesławą cały świat zagłusza.
Uciekaj do klasztoru, porzuć szlubne gody,
Lub jeśli chcesz koniecznie wybrać sobie męża,
Wierz mi.. bierz lepiéj głupca: bo w rozumnéj głowie
Dobrze tkwi stara powieść, pokusy i węża.
Idź lepiej do klasztoru. Zegnam cię.

O f e l i j a.

Bogowie!

Biedny Hamlet!

H a m l e t.

Słyszałem jak się Panie stroją.
Tobie Bóg dał twarz piękną, a ty ją plugawisz.
Wykrzywianiem, skokami kazisz postać twoją,
Przedrzyźnianiem bliźniego towarzystwa bawisz.
Wierz mi, że płochość twoja nagrzeszyła tyle...

Lecz dosyć... to mię samo w szaleństwo przywodzi.
Wszak nam świec nie zapalą do szlubu w kościele!..
Każdy tutaj z żonatych, zdrów, szczęśliwy chodzi,
A on jeden nie żyje!... a reszta tułaczy,
Czy jak dzisiaj szczęśliwa zostanie do zgonu,
Czy w nieszczęściach zaginie. Cóż to dla mnie znaczy?
To mi obce zupełnie! Ty idź do zakonu. (*Wychodzi.*)

Przekładał *Józef Mikołaj* Szczygielski.

POCZĄTEK DUMY UKRAIŃSKIEJ POD TYTUŁEM:

SOROKA (*).

„Czego twój, bracie, wrony się chwieje,
Czego twój, bracie, wrony topnieje.“

(*) W gubernii Kijowskiej, powiecie Lipowieckim, między miasteczkiem Ilińcami a wsią Kalnikiem, jest mogiła, którą *Soroką* nazywają; lubo do połowy niedawnémi czasy rozkopana, mimo to należy do najwyższych mogił na Ukrainie. Kilka podań miejscowych posłużyło mi za treść do napisania dumy, któréj początek w niniejszym zbiorze umieszczam.

—„Trzy dni, trzy nocy strach mnie tu niesie,
Stałem na czatach przy czarnym lesie.“ (*).—
—„Cóż tam po czarnym lesie widziałeś,
Że dniem i nocą do nas leciałeś.“—
—„Widziałem wilki trzodą błądzące,
Widziałem kruki stadem lecące,
Widziałem stare we łzach rodzice,
Z włosem rozsianym kraśne dziewice:
Młodzież na koniach mogił pilnuje,
A dym kłębami po jarach bieży,
A jak noc boża, łuna koczuje,
Zda się na zgliszczu cały świat leży.“—

(*) Z trzech szlaków, któremi Tatarzy do Polski wpadali, jeden nazywał się czarnym, od czarnego lasu w dzikich polach, już po lewéj stronie Dnie-pru leżącego, w którym Tatarzy po przeprawie przez tę rzekę taić się, aż do zupełnego zebrania, zwykli byli. (Święcki, *Opis. Sta. Pol. T. II, k. 141.*)

(**) Tenże Święcki powiada: „Że wchód Tatarów „na Ukrainę, oznaczało poruszenie w wielkiéj mnogości ptaków, które postraszone z południowych pól, przed nawałą koni i ludzi, ulatywać zaczynały.“ (*T. II, kar. 142.*)

—„Dość, bracie Marku, więc płaskonosy
Znów przyszli nasze wydeptać kłosy,
Nie dosyć stad tych, co już zabrali,
Ni dzieci, które w Jasyr zagnali.
Ha! czarne djabły, pókiż będziecie
Ludzi i kłosy deptać na świecie?
Weź bracie Marku trąby złocone,
I uderz w prawą i w lewą stronę,
I uderz w górę, ziemia, niebiosy,
Niech *Sakajdacznych* dadzą jak rosy."

* * *

Wysoka stoi w polu mogiła,
A na mogile dla Atamana
Z balów dębowych dworzec uwiła,
Kozackim plenem horda zabrana.
I z tego gniazda, z tej to mogiły,
Wiecznie strażnicze ognie iskrzyły.
Chorągiew biełsza na czas spokojny,
Czerwona chwieje płomieniem wojny;
W pokoju senną stepową ciszę,
Ledwie kozacka pieśń rozkołysze;
Ale gdy wojna, z strażniczej wieży
Zaraz trzy trąby na świat uderzy.

We śrzodku zamku, w białej świetlicy,
Na ścianie strojnej w drogie przybory,
Jest obraz święty Boga-Rodzicy,
Gdy ją unoszą aniołów chory.
Obraz od wieku na Ukrainie
Rozgłoszonémi cudami słynie,
Pod tym obrazem i dniem i nocą
Wiecznie trzy srebrne lampy migocą,
A pod lampami, co rok święcone,
Wiszą śrzód zbroi trąby złocone.

Idzie do białej Marko świetlicy,
I bije pokłon Boga-Rodzicy,
I z ściany trąby złocone bierze,
I na zamkową wybiega wieżę,
I bierze Marko trąby złocone,
I bije naprzód na prawą stronę.

Na prawej stronie stał las, po lesie,
Trąby się rozgłos daleko niesie;
Zbudzone kruki kraczą w jaworach,
A psy zbudzone wyją w futorach,
Z Lewad w kurzenie rżąc konie bieżą.
Kipią bajraki, kipią czahary (*),

(*) *Bajraki* i *Czahary*, wyrazy blizkoznaczne, miejscowe, znaczą prawie to samo, co w Litwie *Przylaski.*

Ludzie i konie błądzą jak mary,
Lasem spis, lasy się jeżą.

Bierze brat Marko trąby złocone,
Bije powtóre na lewą stronę,
Na lewéj stronie step się rozlega,
Po stepie odgłos trąby obiega:
Budzą się jary i budzą sioła,
Wyją psy, konie z otawy bieżą,
Lasem spis, stepy się jeżą.

Bierze brat Marko trąby złocone
I bije w górę: ziemia, niebiosy,
Niech sahajdacznych dadzą jak rosy.

* * *

Przez lat tyle
Na mogile,
Leżał wonny, kraśny wianek,
Z wasilków i macierzanek.
A z mogiły stepów panna,
Kołysała się dziewanna,
I wysoka jéj siestrzyca,
Przystrojona w puch mietlica.

Dziś poorzą ją kopyta,
Białe ciało ją zasieje,
A czerwona rosa zleje.
Kiedyż z rosy tej obmyta,
Na swe barki, przez zagony
Znowu włoży płaszcz zielony?

Włoży, zdejmie, znowu włoży,
Aż wyrodzą się jej dzieci,
Duch rycerski się zuboży,
Orzeł sławy precz odleci:
A wieszcz, wiatrôm na zabawę,
Będzie dzwonić w starą sławę.

Już suche w stosy,
Zrzucono łomy.
Płomień łakomy,
Strzela w niebiosy:
I dymu jodła
Warkocz rozwiodła,
Rozrosła górą, rozrosła dołem,
Wieje nad Padołem.
Jak rzucisz okiem, z wszelakiéj mogiły
Takież ku niebu jodły wystrzeliły,

I jak kraj cały od Bohu do Rosi,
Wiater jeden okrzyk nosi:
„Dla kogo miłe i życie i wiara,
„Dalej w taniec na Tatara."
I sto sokołów do mogił leci,
Na wronych koniach, i jasnych broniach,
Konie ścigają wiatry w pogoniach,
W broni, jak w wodzie, słońce się świeci.
I razem na stu mogiłach siada,
I sto szérokich ognisk rozkłada;
I ze stu mogił sto słupów dymu,
Rośnie na postrach dzikiego Krymu.

* * *

Hanie, gdzieś żona cię nie kochała,
Ze w tym pochodzie nie zatrzymała.
Czy w waszéj ziemi kukułek nima,
Ani z jasnémi wrózek oczyma?
Wrózkaby rzekła: „Patrzaj na niebie,
Niedobra gwiazda świeci dla ciebie;
Kukułka płacze pieśń pogrzebową,
Nad twoich braci i twoją głową,
Siwe jastrzębie, orły się snują,
Po synach stepu, co nie powrócą."

Żonaby rzekła: „Mężu mój Chanie,
Zły sen mi przyszedł w samo świtanie;
Puszczałam nasze wianki na wodę,
Puszczałam nasze włosy na wodę,
Pod wodę poszły wianki i włosy:
Jakieś niedobre grożą ci losy.
Po cóż po cudzym stepie koczować,
Po cóż niewinnych ludzi mordować?...
Mężu mój Chanie! czy się chce tobie,
Byś ze mną w jednym nie spoczął grobie?
Abym ja biédna, w mojéj starości,
Pytała wiatrów o twoje kości!"

* *
*

Nim słońce wstało, Kahnickim szlakiem,
Ledwieś się spotkał z wiatrem a ptakiem.
Głęboką ciszę niebieski dzwonek,
Tylko niekiedy budził skowronek.
Albo przepiórka wabiąca dzieci,
Lub bocian, który klekocąc leci.
Gdy słońce wstało, to już bez końca,
Skowronek spadał, wzlatał do słońca.
Trawy zielone rozwiwszy kosy,
Z wiatrem poranne wstrząsały rosy.

Lilija drżała: dziewiczy kwiecie,
Tyś czuł, że ciebie burza zamiecie.
Czego latając ta wrzeszczy wrona,
Czego te kruki stadem się snują?
O! one trupi zapach już czują,
Zurawie sznurem ciągną po niebie,
Ciągnąc wołają: nie drzemcie ptaki,
Nim wojna wszystkie przetnie wam szlaki,
Rzucajcie gniazda, ratujcie siebie.
Skowronek więcéj nie spadł na niwę,
Przepiórka pierzcha, leci do góry.
Z rud uciekają czajki krzykliwe,
Z rud bocian wieje długiemi pióry.
Dzieci pokoju, lećcie daleko,
W wasze siedziby stadem się wleką
Złodzieje kruki, orły dziobate
I rozjuszone wilki zębate.

Alexander GROZA.

DO L. J.

Czegoś milcząca, a tyś taka młoda,
Czemu jak dawniéj nie jesteś wesoła?
Młodemu sercu rajem świat dokoła,
Dokoła radość, wesele, swoboda.

Rzuć na świat okiem: jaki świat szeroki,
Jak niebo czyste, ani jednej chmurki:
Łączą się z ziemią zbielone obłoki,
Bieleją lasy, bieleją pagórki.

Widzisz gałązkę? — była sucha w lecie;
Dziś ją szron zimny przytulił do łona,
Między innémi, jakby w równym lecie,
Równie jak inne, mrozem oiskrzona.

To cię nie bawi: a tyś taka młoda,
Czemu jak dawniej nie jesteś wesoła?
Młodemu sercu rajem świat dokoła,
Dokoła radość, wesele, pogoda.

Zaczekaj chwilkę: przemkną zmian szeregi,
W inną się postać świat ziemski przemieni,
Stopnieją lody, stopnieją i śniegi,
Zakwitną łąki, las się rozzieleni.

Przy twém okienku bzy się zapłonią
Złotém świtaniem, pozłocą się drzewa,
Ujrzysz jak muszki czegoś siebie gonią,
I słowik śpiéwa: nie wiem komu śpiewa?

Ty się rumienisz: a tyś taka młoda,
Czemu jak dawniej nie jesteś wesoła?
Młodemu sercu rajem świat dokoła,
Dokoła radość, wesele, swoboda.

Rozumiem.—Często wymowne milczenia,
Gdy ogień uczuć piérwszą miłość wita,
Niebo marzeniom, w tém niebie marzenia,
Czoło więdnieje, a serce zakwita.

I kwitnie tęskne, póki moc uroku,
Błogą nadzieją młode czucie krasi,
Ale cel życzeń, w pewności obłoku
Nieraz się gasi, a pamięć nie gasi.

Przestań się smucić: boś ty taka młoda,
I bądź jak dawniej swawolna, wesoła;
Młodemu sercu rajem świat dokoła,
Dokoła radość, wesele, swoboda.

Józef Kotoni.

PIERWSZE NATCHNIENIE.

Długo młodzieńca leży myśl uśpiona,
Jak młode orlę, gdy z gniazda chce wzlecić!
Wznosi ku niebu puchowe ramiona,
Chcąc w równi z gwiazdy srebrném piórem świecić.
Wzlatuje w górę; lecz znów idzie na dno,
Jeszcze sił braknie, i skrzydła nie władną;
Tak i myśl młoda: lecz gdy ją podsyci
Uśmiéch anioła, albo wzrok niebianki,
Wtedy z orłami wyleci za szranki,
I nad gwiazdami jak słońce zaświeci.

Wtenczas się w duszy natchnienie rozpala,
Serce gwałtowniéj i silniej uderza,
I młody umysł jak wzburzona fala,
Lecąc wciąż daléj, bardziéj się rozszérza.
Gdy młode piersi napełni uczucie,
Gdy w całem łonie miłość się rozléwa;
Wtenczas młodzieniec w rzewnéj, brzmiącéj nócie,
Lubéj kochance swe myśli wyśpiéwa.
Gdy pierś dziewicy podziela zapały,
Gdy łzą odpowié lub echem miłości,
Wtenczas pieśń jego będzie szczeblem chwały,
Po którym sięgnie do nieśmiertelności.

Michał Jezierski.



TRZY GODZINY MOJEGO ŻYCIA.

POWIEŚĆ POŚWIĘCONA A..... P......

> ....Tylko czasem miłość
> I ludzi łączy; znałem ludzi dwoje.
> *A.* Mickiewicz.

Przesycony nudami z niechęcią na świat patrzyłem. Straszna tęsknota dręczyła moję duszę, serce bolało i przeszłość rozwijała się przede mną, jak widok rodzinnej ziemi przed oczami wędrownika powracającego po długiej pielgrzymce, głowa mi ciężyła, mózg się palił, byłem w stanie gorączkowego prawie cierpienia. Zegar pierwszą uderzył na wieży, noc była spokoyna i kiedy głos ten

łamiąc się na coraz słabsze tony, doleciał do wytężonego ucha, drzwi się mojego pokoju otwarły i dawno mi znajoma osoba weszła niespodzianie. Była to kobieta nieszczęśliwa bardzo; jakiś boleśny wypadek przyprawił ją o utratę rozumu i od tego czasu stała się przedmiotem ciekawości i szyderstwa dla ludzi. Kiedyś, w dniach swojej młodości była i ona szczęśliwą, liczyła kilka złotych godzin, a potem, wszystko to, jak sen, wionęło. Nieszczęście stargały piękną powłokę, która piękniejszą okrywała duszę. Zapomnieli ją wszyscy, ja tylko z jednostajnem upodobaniem opowiadań jej słucham: często są one zawikłane i ciemne, lecz częściej proste, szczere i tkliwe. Dziś przyszła w godzinę mego cierpienia. Słuchaj! powiedziała, szukałam cię dawno, lecz tyś się był zabłąkał i nie słyszał mojego wołania...... Słuchay więc teraz i pilnie uważaj, opowiem ci trzy godziny z życia człowieka, którego nieszczęścia najżywiej mnie zajmowały, bo one były nieszczęściami przeznaczenia i ciężyły na wysokiej duszy.

Dawno już, o dawno! widzisz podarte są szaty moje, a ta sukienka nową wtenczas była, mówiła z westchnieniem, dawno, jeszcze w roku 18.... było to w Lipcu. Wśrzód roskosznego ogrodu, nad brzegiem zwierciadlanej powierzchni jeziora wije się droga, i z obu stron panują wzgórza, okryte gęstym, zielonym lasem. Słońce usunęło palącą swą głowę z opalonej przestrzeni nieba, a wieczór cichy i spokojny zapowiadał jednę z tych nocy, które natura i stworzenie wybierać się zdają, jako godziny poświęcone, kiedy im wolno zbliżyć się do siebie i pomówić z sobą. Ostatnie promienie zachodzącego słońca przedzierając się przez drżące, z roskosznym szmerem, listki leszczyny, złamały się w brylantowych kroplach fontanny, która podnosząc swe wody ze śrzodka jeziora w zielonym drzew wyniosłych wianku srebrne ukazywała czoło: w głębi widok był otwarty i wykończony z całym przepychem malowniczego bogactwa; na brzegach wyniosłe topole, jak zadumane cienie olbrzymów przezierały wdzięcznie w przejrzystem jeziorze

tam odbił się pustelniczy domek, tam smutna twarz dzikiego kamienia, tam biała nieruchoma postać posągu, a dalej most rzucony na pieniące się wały wodospadu, dalej wyschłe łoże potoku usłane sterczącémi odłamami skały, dalej kilka wyniosłych wiekuistych dębów, samotna sosna, a dalej! niebo wieczorne i mgła błękitna....... i dusza biegła w tę przestrzeń czarodziejstwa wypełnioną balsamiczną wonią tysiąca kwiatów, biegła jak w swe rodzinne strony, aby żyć i marzyć.......

Na drodze wiodącej po nad brzeg jeziora dały się słyszeć wesołe głosy i ukazało liczne towarzystwo idące parami. Przemijały się przede mną te zimne twarze bez życia i duszy, dla których ta czarodziejska natura, ten świat poezyi i ducha, był obcy i niemy; wtém oko moje spoczęło na jednej parze. Było to dwoje ludzi dawno mi znajomych: był to młodzieniec, o którym pierwéj ci mówiłam, a na jego ręku opierała się kobieta, w której czarném oku, twarzy, poruszeniach, tyle było wdzięku, ile życia w otaczającej natu-

rze. Na twarzy młodzieńca widać było całą wysoką walkę duszy, widać było, iż ta ręka pierwszy raz spoczęła na jego ramieniu; lecz, że dusza kobiety nie była mu obcą. Odgadłam; młodzieniec ją kochał, lecz jeszcze pierwsze wyznanie leżało w sercu, a teraz ta zasłona jego tajemnicy, drżała, tém drżeniem potęgi natchnienia, które poruszało mistyczne zasłony Izydy, przed objawieniem wyroku bóstwa. W tej chwili, towarzystwo otaczających go ludzi, obcém mu się stało, dusza jego płynęła w czarodziejskiej naturze i z całym ogniem uczucia przelewała się w duszę kobiety. Oni żyli dla siebie tylko, ich krok stracił miarę zwyczajnego kroku, a lekka stopa kobiety nie wyciskała nawet śladów, na miękkiém łożu drobnego piasku. Młodzieniec mówił, słowa jego były oderwane, bez związku, jednak kobieta go rozumiała, bo ona pojmowała tę ognistą duszę. Młodzieniec opisywał czarodziejstwo otaczającej natury, ona patrząc w twarz jego słuchała w milczeniu. Słońce już zaszło, wiatr lekko kołysał zielone gałązki płaczącej wierzby,

której długie warkocze muskały z roskoszną pieszczotą błękitne lica strumyka. Cień słodki, ten pośrzedni promień światła i ciemności, rozwinął nad ich głowami tęskną swą zasłonę, a w dali słychać było ostatnie, konające tony wieczornego hymnu zasypiających ptasząt, towarzystwo weszło w jednę z ciemnych ulic, młodzieniec mocniej ścisnął rękę kobiety; on drżał, lica mu płonęły, nie mógł wydobyć głosu ze sciśnionej piersi i nakonice wyszeptał piérwsze słowo miłości, ten piérwszy i czysty głos ognistego serca! Kobieta spójrzała na niego, a w tem spójrzeniu było całe niebo. Młodzieniec westchnął, zdało się, że mu dusza z tém westchnieniem uleci..... «Nino! powiedział, czy żądasz jakich przysiąg?" milczenie. Nino!— powtórzył; i znowu milczenie. Młodzieniec mówił z ogniem, ze łzami, lecz zawsze milczenie. Już cały ogród przebiegli, już mają opuścić te czarowne miejsca, i młodzieniec myślał: «Powiedziałem jéj wszystko, duszę jéj oddałem!" — i znowu mówił, lecz zawsze toż samo milczenie. Już się rozstali!.....

Patrzyłam na twarz młodzieńca i na tej twarzy płonęła najczystsza miłość, przysłaniał ją tylko jakiś lekki smutek dalekiego przeczucia, poglądając za oddalającemi się pomyślałam: młodzieniec zawsze tę kobietę kochać będzie, bo wieczność w tej chwili wypisała się na jego podniesioném czole; lecz czyż kobieta go kocha?.....

Długo, długo, po tem piérwszém spotkaniu nie widziałam młodzieńca; a gdym go po dwóch latach ujrzała, on znowu był razem z tą kobietą, którą kiedyś w ogrodzie prowadził. Młodzieniec się zmienił; na twarzy jego zatarł się pokój lat młodych, a nieszczęścia głębokie zostawiły ślady. Pochylona ku piersiom głowa wymownie wyrażała, iż żelazna losu ręka nieraz się na niej oparła, tylko w oczach jego palił się dawny niezgasły ogień miłości, one były nieporuszenie utkwione w twarz kobiety, a twarz ta była zawsze piękną, zachwycającą tym wyrazem uczucia, który się rozlewał w jej rysach z takim tajemniczym wdziękiem, z jakim się rozlewa łagodne światło księżyca w składach

twarzy pięknego posągu. Nie widać tam było cierpienia; jej życie musiało upływać we śnie, we śnie roskosznym miłości i szczęścia. Spokojność otaczała jej skronie i dosyć było spójrzeć na tę twarz anielską, ażeby poznać wymowę niepojętego języka, którą wysokie uczucie znamionuje przejrzystą twarz kobiety.

Długo siedzieli w milczeniu, a oczy młodzieńca wylewały potoki ognia, na koniec powstał, zbliżył się do kobiety, a we wszystkich rysach jego odbiło się konwulsyjne wzdrygnienie boleści.—Nino! powiedział cicho, lecz z tym wyrazem cierpienia i miłości, któremu oprzeć się niepodobna; kobieta spójrzała w te oczy, gdzie taka miłość świeciła, na te usta z których tyle uczucia płynęło i podała mu rękę z tém przyjaznėm poruszeniem, które tak wiele mówi do serca kochanego człowieka. Młodzieniec z zapałem do ust ją przycisnął, ukląkł i oczy jego utkwiły się w piękną twarz kobiety z instynktowém badaniem miłości. One zdawały się przenikać w najgłębsze tajniki jej serca, rumieniec okrył piękną twarz kochanki i mała jej rą-

czka swawolnie zakryła oczy młodzieńca. — Czego Pan chcesz ode mnie? powiedziała. Młodzieniec klęczał z tém samém w duszy uczuciem, a czasem tylko wymawiał cicho: Nino! Nina z żywością złożyła drobne swe rączki na piersiach, mocno je przycisnęła i powiedziała z gniewem: — Czego Pan chcesz? ja Pana cierpieć nie mogę, a oczy mówiły: kocham cię: Nino! mówił młodzieniec, ja ciebie kocham!.... Kobieta raz jeszcze usunęła się z objęć młodzieńca, a wtenczas na twarzy jego rozlał się wyraz takiego wyrzutu, iż oczy jej schyliły się ku ziemi i ona usiadła: młodzieniec był przy niej, rumieniec żywego ognia błyszczał na twarzy kobiety i ona z wysileniem raz jeszcze zapytała: — Czego Pan chcesz? Młodzieniec nachylił czoło na jej kolana i z cicha przemówił: — Nino! pocałuj! — nigdy! odpowiedziała żywo kobieta: — Nino! nigdy? i oczy młodzieńca coraz żywiej błyszczały. Nino! Nino! mówił, i głos ten wydzierał się boleśnie z tego biednego serca, nakoniec dzika jakaś wściekłość przebiła się w tém oku. — Nino!

zawołał mocnym głosem i widać, że dusza jego była w tym stanie nieziemskiego wysilenia się, po którem następować musi lub długi pokój, lub wieczne zniszczenie; bo głowa Niny, jak gdyby poddając się tej niezaprzeczonej potędze wielkiego uczucia, które ożywiało kochanka; nachyliła się na jego ramie, raz jeszcze usta jego wymówiły cicho: — Nino! i pierwszy pocałunek zapłacił długie jego męki. Oczy jego zagasły, a na twarzy widać było znikającą duszę, która w powolnych przerwach wylewała na nię mocniejsze uczucia, i one chwilowo wypełniały te rysy tak rażącym blaskiem, jak odległa błyskawica gromu wypełnia posępną twarz natury, kiedy potężna burza w czarnych skupionych kłębach osiądzie na dalekie skały i czasem tylko przyświeci krwawym odblaskiem piorunu.

Było to w roku 18··, zegar przedzwonił już 10, ruch ustal prawie na ulicach, na kanapie bawialnego pokoju siedziała znajoma nam kobieta, a przy niej młodzieniec, ręka jego otaczała udatną kibić kobiéty, a głowa w ro-

skosznem zaniedbaniu spoczęła na kochaném łonie. Twarz jego w tej chwili nie wyrażała ani boleści, ani szczęścia, bo szczęście jego duszy, tak było wyższe od szczęścia ziemskiego, iż ono zatarło wszelkie ślady dawnych boleści i roskoszy. Miłość, zachwycenie i wysoka wiara, świeciły nad tą głową czarodziejskim blaskiem, oczy jego były spuszczone, a na wyniosłém czole lekko się rozwijały pierścienie czarnych włosów Niny.

Młodzieniec był teraz w tém lubém upojeniu, w tym letargu serca, kiedy dusza pełnémi ustami z rąk kwitnącej nadziei pije marzenia przyszłości chwile te, te godziny, spoczynku ducha, ten sen Aniołów, jest tak słodkim, jak to półsenne drzémanie, w którém toną zmysły nasze, kiedy balsamiczny zapach jaźminu lub lilii z zabijającą roskoszą rozleje się w piersi. Kiedy pierwszy pocałunek zabrzmi nam na ustach, lub kiedy nadzwyczajna radość pierwszą łzę z oka nam wyciśnie. Maleńka rączka Niny podniosła włosy na czole młodzieńca, nachyliła się jej głowa i oczy pełne miłości zbudziły rozma-

rzoną duszę kochanka. Jak pocisk pioruna gorejące jego spojrzenie zapadło w duszę kobiety, mocno przycisnął ją do serca i długi pocałunek oddech im zatrzymał. Młodzienice odsunął swą głowę, uśmiech roskoszy z otwartych mu ust wybiegał; patrzył przez chwilę z uniesieniem w piękną twarz kobiety. —Nino! powiedział cicho: i znowu jéj usta całował, całował jéj oczy, cisnął ją do serca, i czysta miłość i namiętne żądze, dusza i ciało. Bóg i człowiek odbiły się w tym wzroku ognistym, w téj wymownéj twarzy. Kobiéta drżała w konwulsyjnych objęciach szaleńca i usta jéj przerywanym dźwiękiem, szeptały jakąś prośbę, jakieś niepojęte wyrazy; coś nakształt téj pieśni, którą dzwoni powiew lekkiego wiatru, uderzając cicho po strónach arfy, w spokojną noc majową. Dawno nieobjaśniona lampa mdłem, słabem otoczyła ich światłem a istnienie tych dwojga istot, zdawało się bydź bardziej magicznem czarodziejstwem, niżeli wypadkiem rzeczywistego bytu.

Nakoniec duch jakiś złośliwy, uderzył swa-

wolnie o zakopcony knot lampy; ta gwałtownie prysnęła i potok żywego światła rozlał się na głowy dwojga kochanków. Oboje zadrżeli, puść mię! powiedziała Nina: puść mię! powtórzyła: dziko błysnęły spójrzenia młodzieńca, lecz w oczach kochanki tyle było miłości, iż piekło zagasło mu w duszy, ogniste westchnienie wyleciało z piersi i pocałunek zamknął proszące jej usta. Nina oplotła swe rączki około szyi młodzieńca, i wzrok jej szukał spójrzeń kochanka; usta ust szukały, dusza wlewała się w duszę, a czasem odzywały się dźwięki, dla których języka nie było na ziemi: język ten zaginął w ustach zimnych ludzi; język ten, był to pierwszy głos człowieka; był to język, którym natura do nas się odzywa, był tam głos szczerej modlitwy, pierwszy krzyk dziecięcia, pierwsze westchnienie miłości, ostatni jęk skonania, najwyższa harmonija muzyczna, i śpiéw prawdziwej poezyi. Oni nie mieli myśli, bo dusza zrzuciwszy wszystkie swe kajdany z całą mocą twórczego ducha w drugiej się duszy przejrzała; a ktoby pa-

trzał na te dwie istoty, pojąłby najwyższą zagadkę stworzenia: był to człowiek anioł, któremu wrócono oderwaną cząstkę, przy pierwszém stworzeniu: było to dzieło doskonałe, dzieło godne swego Stwórcy.

O! jakże piękną, piękną była wtenczas kobieta! gdybyś patrzył na to czyste czoło, na te oczy pełne miłości, na tę twarz, w któréj anielskich rysach rozlały się przestrach i roskosz. O! gdybyś ją widział, kiedy miękka szata z jéj ramion spłynęła, a tę wymowną, malowniczą głowę, otoczyły sploty czarnych włosów, które w drobnych kędziorach rozwijały się na jéj łonie, nie śmiałbyś jéj kochać; tak zachwycającą była! — Nino! krzyknął młodzieniec, dziś albo nigdy! — Co ty mówisz? powiedziała kobieta, i ręka jéj mocno poruszyła sznurek wiszący na ścianie, przeraźliwy głos dzwonka odezwał się w dali. Młodzieniec zagryzł swe usta, krew z nich popłynęła, i coś w jego ręku błysnęło. Czyż on zabił kobietę? — nie wiem, co było potém, zaćmiły się oczy, i oto, oni na długo przede mną zniknęli......

Młodzieniec nie zabił kobiety; lecz, zabił swe szczęście. Nina, nigdy go nie kochała..... i ona ognistą jego miłość zapłaciła śmiechem szyderstwa. Poznał on to, zapoźno! w tej ostatniej godzinie rozwiązał zagadkę przyszłości swojej, i został jeden samotny!... Tak młody, a już przeczytał przeznaczenia księgę, skończył pielgrzymkę ducha i życie stało się dla niego czystym nagrobnym kamieniem, na którym jedno jeszcze wypisze słowo: Śmierć!.....

Tak skończyła swe opowiadanie ta dziwna kobieta, chcecież wiedzieć, kto ona była?— była to wyobraźnia moja, poszła ona na błonie zamglonej przyszłości zebrać kilka kwiatów młodego życia i balsamiczną ich wonią orzeźwić konającą duszę. Kto był młodzieniec?..... a te trzy godziny są trzema godzinami najwyższego szczęścia, i najdotkliwszych boleści z mojego przeszłego życia.

Józef Mikołaj Szczygielski.

Młodzieniec nie zabił kobiéty i [illegible], zabił swoje szczęście. Nim, nędzny go nienawidził... i ono cynicznie [illegible] zapachu [illegible] szyderstwa. Poczuł on to, zapomniał w tej ostatniej godzinie nawet [illegible] przyszłości swojéj, i został jeden z zawiedzionych. Tak młody, a już przeczuł przeznaczenie bolesne, stracił przyjaciela, dobra i życia stało się dla niego czystem [illegible] kamieniem, na którym jedno jeszcze wypisze [illegible].

Tak skończyła się [illegible] ta dziwna historia, [illegible], bo ona była bardzo [illegible], gdyż ona na [illegible] nie [illegible] przyszłości żadnéj; była [illegible] tego życia, [illegible] ich w [illegible] oczekiwał [illegible] duszę, [illegible] był młodzieńcem, a to trzy godziny z [illegible] dniami najwyższego szczęścia, i najsłabszego [illegible] życia.

PŁYWAK.

Patrz, kiedy morze huczy w swém łożu głębokiém,
Pływak wtedy otchłanie mierzy śmiałém okiem,
Czy on jak duchy nad ziemią ulata,
Że go nie trwożą te mokre tarany?
Czy jak pustyń huragany,
Tak przebiega otchłań świata,
Jakby ziemię swą rodzinną,
Jakby kolebkę dziecinną?

* * *

Dzień skonał okiem rubinu,
Jeszcze na fale poglądał,
Rumiany, jak świadek czynu
Który z wstydem ukryć żądał.
Jakby już nie myślał wrócić,
Jakby miał ziemię porzucić.

Lub jak swej drogi niepewny,
Lękał się by wyrok gniewny,
Nie kazał światłu zagasnąć,
I do kolebki powrócić
I w niej zasnąć,
Zasnąć, aby się więcéj nie ocucić.

* * *

Jeszcze i jeszcze z za góry
Spojrzał, jak gdyby świat żegnał;
Bo noc z cieniem rozmarynu,
Z pochodniami firmamentu,
Weszła z pompą pogrzebową:
I nad przepaścią odmętu,
Wstrzęsła błyszczącą głową.

* * *

Nad horyzontem czoła zasępiły chmury,
Dwie najzawziętsze rywalki;
Jakby dwie olbrzymie góry,
Wyzywają się do walki:
Każda wściekła i szalona,
Szarpie drugiej wnątrze łona.

* * *

Grozi zgubą wściekła burza,
Łódź się kołysze, zanurza,
Leci z światłem błyskawicy,
Z bałwanów skacze w głębiny,
A na nię paszczę otwiera wir siny,
Porywa, ciska aż pod niebios stropy,
Gdzie ognie niebios świetlicy,
Gdzie władcy świata spoczywają stopy.

* *
*

I zawieszona pod niebem wysoko
Pod stopami więzi fale,
A nad nią gwiazdy, a pod nią głęboko
Otchłań w zburzonym huczy nawale.
A łódka buja, gdyby myśli oko,
W śmiałym zawodzie sięga niebios szczytu,
I utonęła w przestrzeni błękitu,
Jak duch proroka w najwyższego chwale

* *
*

Cóż cię ośmiela powiedz łódko biedna,
Po niezgłębionéj szybować otchłani?
A gdy nie znajdziesz przystani,
Samaż się ocalisz jedna?

Gromy w krainie zniszczenia,
Krwawe, jak razy sumienia,
Burza, dzika namiętność, wzywasz w zawód burze,
Chcesz przemodz losów pioruny,
Tryumf zdziwionej pokazać naturze,
Nim cię skryje deska truny.

Bolesław Kopijowski.

DOM.....

Pięknaś jak róża z pączka rozwinięta,
Jak młoda gwiazda o wiośnianym świcie
Jak pod rosy kroplami lilija ugięta
I skromna jak fijołków pustelnicze życie.

Luba! wszystkie nadzieje złożyłem w twe ręce,
Jestem ja twoim sługą, czekam twych rozkazów,
Całuję twoje stopy, kroki twoje święce,
A w zamian nic nie żądam prócz kilku wyrazów.

Chciałbym, aby świat cały wielbił wdzięki twoje,
I oddał twoim cnotóm cześć winnéj nagrody,
To będą najpiękniejsze w życiu mojém gody,
Bo w twej chwale, rozkwitnie całe szczęście moje.

A wówczas, kiedy będziesz panować nad światem,
Gdy on ci w hołdzie wszystkie serca poodda je,
Wówczas tego co ciebie wielbić nie przestaje,
Wspomnij luba, jak gdyby on był twoim bratem!

Bolesław Chajęcki.

SKARGI TATARA.

Woziłem tobie jedwab z Buchary,
Futra na jakie w Kazani stało,
Tyś okrywało mojémi dary,
Twe serce, które nie mnie kochało.

Patrząjąc na mnie ludzie poczciwi
Szeptali, a jam udał głuchego,
On cukrem swoję Taminę żywi,
A ona, jady chowa dla niego.

W myśli coś było, że tam szeptali;
Wtém ona ku mnie błyśnie oczyma,
Że szepczą, rzekłem, zazdrość ich pali,
Że u nich takiéj Taminy niéma.

I trzy do wozu zaprzągłszy klacze,
Jadę na bazar, jéj dłoń w méj dłoni,
Przy wozie troje zrzebiątek skacze,
I w srebrne dzwonki dzwoni, i dzwoni.

Zbiega się młodzież zagląda w oczy,
Leci za nami jakby z pogonią;
A nasz wóz szybko, szybko się toczy,
A nasze w dzwonki zrzebięta dzwonią.

Widząc jak pusta młodzież szaleje,
I my szalejem, i my gonimy.
Ja do niej, ona do mnie się śmieje,
I jak te gwiazdy w siebie patrzymy.

Jak wiatr me klacze, lecz u Kuczyna
Koń był tak lekki jak błyskawica,
On nas w połowie drogi przechwyca,
Patrzy, na niego, patrzy Tamina.

Miałem naówczas kindżał przy boku,
Łuk za plecami; lecz tylem wierzył
Taminy sercu; Taminy oku;
Żem się do wroga piersi nie zmierzył.

On odtąd póty ponocną dobą,
Jak wilk zaglądał w nasze auły,
Aż uniósł moję Taminę z sobą,
A wiatry za nim ślady popsuły.

Kogo zapytam, każdy był ślepy,
Przed kim zapłaczę, każdy się śmieje,
Z jarów na jary, z stepów na stepy
Lecę którędy wiatr mną powieje.

Za kumis tylko gorzkie łzy piję,
Za mais ciągnę kurzawę stepu.
Gardło me wyschło nakształt czerepu.
I sam już nie wiem jak żyję.

Alexander GROZA.

WYJĄTEK Z FAUSTA GOETHE'GO

CZĘŚĆ SCENY MIĘDZY

FAUSTEM A WAGNEREM.

WAGNER.

O wielki mężu! cóż czuje twa dusza
Gdy się tak wszystko ku twej czci porusza.
Błogosławiony kto z przyrodnich darów,
Takie dla siebie zyski ciągnąć zdoła.
Ciebie ojciec synowi swemu pokazuje,
Każdy o ciebie pyta, wszyscy cisną się dokoła,

Skrzypka umilkła, młodzież nie tancuje;
Przechodzisz, w szeregi stają,
Czapki w górę latają,
I mało zbywa aby kolan nie zginali,
Jak gdyby Przynajświętszy Sakrament witali.

F a u s t.

Za niewiele ztąd kroków tam, na tym kamieniu
Odetchnijmy; O wieleż tu siedziałem razy
Osamiały, w zamyśleniu,
Dręcząc me grzeszne ciało postem, modlitwami,
I bogaty nadzieją, nie zachwiany w wierze,
Pragnąłem, przez łzy moje, westchnienia, pacierze,
U Króla Niebios końca wymodlić zarazy.
Te okrzyki, w mych uszach brzmią hańby głosami,
Gdybyś mógł w głębi méj duszy przeczytać,
Poznałbyś, czy ojca, syna,
Rozgłos takowéj chwały, powinienby witać.
Mój ojciec, był to człowiek ciemny lecz poczciwy,
Roztrząsał on natury święte tajemnice,
Lecz roztrząsał po swemu, po swemu pracował.
Otoczony adeptami (*)

(*) *Adepta*, w czasach alchemicznych tytuł ten nosili mniemani posiadacze *kamienia filozoficznego*,

Pod czarny się komin chował,
I dziwnemi receptami,
Co najsprzeczniejsze środki łączył z sobą.
I był tam lew czerwony, był zalotnik śmiały
Który liliją w ciepłej kąpieli ożenia,
Gdy ich żywszego ognia dojmują upały,
Małżeńska para coraz mieszkania odmienia
Aż zabłyśnie nareszcie w pośród farb tysiąca,
Za szkłem królowa kwitnąca (*).
I to było lekarstwem, chorzy umierali,
Umierając kto przecie zdrowiał nie pytali.
A tak my, przez swe piekielne wywary,
Między te góry, między te jary
Sroższe niżli zaraza szerzyli rozboje.
Tysiącom jad podały własne ręce moje,
Oni więdną w mogiłach a ja ich zabójca,
I żyje i odbieram jeszcze hołd takowy.

---

który miany był za środek powszechny do przeistaczania metalów *nieszlachetnemi* zwanych w *szlachetne*, a mianowicie w złoto, jako też do leczenia wszelkich chorób, przedłużenia i niejako odnawiania życia. (*Ency. Pow. Tom I, str. 102.*)

(*) Są to wyrażenia alchemiczne.

W a g n e r.

Na cóż te smutne myśli przypuszczać do głowy,
Człowiek prawy, sumienia swojego nie zdradzi,
Gdy swą sztukę przykładnie, gorliwie prowadzi.
Jeżeli ty młodzieńcem czciłeś twego ojca,
Jego nauka, twoją skarbnicą się stała.
A jeżeliś ją, mężem, pomnożył zbogacił,
Twojego syna wyższa oczekuje chwała.

F a u s t.

O szczęśliwy! kto jeszcze nadziei nie stracił,
Przebrnąć, przez to błędów morze.
Bierzemy na użytek to czego nie znamy,
Cośmy poznali tego użyć nie zdołamy.
Lecz na cóż takie myśli, w téj tak błogiej porze?
Precz z niemi, niechaj pięknych godzin nam nie biorą,
Patrzaj, jak po zielonej błoni rozproszone,
Wieczornym słońca ogniem wiejskie chatki gorą,
Dzień zagasa, zapada słońce pochylone,
Aby dla drugich nowe rozniecilo życie.
Gdyby z tego padołu uniosło mnie pierze,
Jakbym krążył za słońcem ochoczo i stale.
A z brzasku odwiecznego pod mojemi stopy,
Oglądałbym ciche światy,
Jaki na nich wszelaka cień dolina bierze,

Jakie promienie sieją na gór stropy,
Jak się wód srebrne zapalają fale.
Napróżno drogę olbrzym chce przeciąć garbaty,
Wstrząsam potężnej lotów moich biegi,
Wzrok mój pada na puste oceanu błonie,
I zarazem uderza o dwa żółte brzegi.
Błogo mi! wieczne światło rozwesela oczy,
A za mną cienie spokojna noc toczy,
Niebo uwieńcza głowę, ocean pod nogą.
O jaka roskosz takiem poić się marzeniem,
Skrzydła ducha potężnie rozwinąć się mogą,
Ale ciało do ziemi, przykute kamieniem.
Jednakże, czyjeż serce żywiej nie uderza
Słysząc, jak drobnem skrzydłem, utopion w błękity,
Ranny dzwoni skowronek; jak po nad gór szczyty
Orzeł szybuje na żaglach pierza,
Jak obleciawszy morskie wybrzeża,
Znowu do gniazd rodzinnych ciągną się żurawie.

Przekładał *A.* Groza.



O FRANCISZKU KARPIŃSKIM Z POWODU JEGO POŚMIERTNEGO DZIEŁA P. T.: HISTORYJA MOJEGO WIEKU I LUDZI Z KTÓRYMI ŻYŁEM.

Mało jest książek, któreby mnie tak mocno zajęły, których szczéra naiwność, mocno uczuta prawda, rzeczywiste i tkliwe uczucia, przyjemniej sercem wstrząsnąć były zdolne, jak *Historyja mojego wieku i ludzi z którymi żyłem Fr.* Karpińskiego. Jest w tém opisaniu taka pewność wiary, taka pokora i godność Chrześcijanina, takie poddanie się i nadzieja, iż od razu poznać można, że ta książka nie jest pisana, w wieku naszym, w wieku w którym wszystko rozbieramy, a niczemu wierzyć nie chcemy.

Jakaż to tak wielka liczba lat, między nami a jej autorem, zdołała zetrzeć z nas to piętno wiary, starożytną cnotę naszę? Czyliż rzeczywiście tak niczemu nie wierzymy, czyli to są tylko ostatki, przeszłej już dawno mody niedowierzania?

Między nami a Karpińskim, jest wiek XVIII. jak wielki mur Chiński odgraniczający dwa umysłowe światy: wiek analizy i szperania, uczonych drwinek, mądrych powątpiewań. Karpiński wyszedł z niego bez zmazy, różny w tém od wielu swoich współzawodników. Po nieszczęśliwych czasach dla literatury polskiej, których ksiądz Chmielowski był expressyą, zaczęło się odrodzenie nasze, pod wpływem słynącej wówczas literatury francuzkiej tak dawniejszej, jako i ówczesnej, która była niby przedłużeniem tamtej. Ocknięci z tak smutnej umysłowej katalepsyi, rzucili się ówcześni pisarze na tę złotą niwę, przejęli się duchem, poszli za jej natchnieniem, przyjęli jej formy ustawy, zgoła żyli, chociaż życiem pożyczaném, ślepo naśladowniczém. Popęd dany z góry

rozszedł się szybko, zakwitła i w nas niwa ojczysta, chociaż przestrojona po francuzku, w peruce i ze szpadą przy boku.

Młodzież podróżując po Francyi, klassycznéj ziemi wówczas dobrego smaku, prawdziwej piękności, przywoziła z sobą wykształconą zapewne znajomość sztuki, ale z nią razem zgubne nasiona filozofizmu, morowéj zarazy, która się czepiała większej części zdolniejszych umysłów ówczesnych. Król sam, od którego poszła inicyatywa tego nowego umysłowego ruchu, pamiętny pobytu swego w Paryżu, wieczorów Pani Geoffrin towarzystwa ówczesnych filozofów, popierał silnie tę dążność odrodzenia, wyszukiwał rodzące się nieśmiałe talenta, zachęcał szczodrze, namową, przykładem, szlachetną usilnością. Wygładziły się obyczaje polerownością zewnętrzną, układem, salonową grzecznością, chociaż w gruncie smutny i cierpki owoc przyniosły, te formy obce, lekkie, wykształcone, zasadzone na ziemi dawnej, przesiąkłej wiarą, pełnej starych, szlachetnych, otwartych obyczajów, patry-

archalnéj familijnej władzy. Nieszczęśliwe nader skutki tego naśladownictwa, nie dały długo czekać na siebie. Były i u nas Wojewodzine, Kasztelanowe, jak francuzkie Markizy, Hrabinie, chełpiące się z licznych czcicieli, Wojewoda ze swojéj strony, szukał pastwy dla modnéj swojéj rozwiązłości, mieliśmy sceptyków uczonych, był i u nas Parny-Węgierski; brakło nam tylko legionu tych lekkich i pełnych gracyj *abbé* francuzkich, szczególniejszego rodzaju amfibijów.

Karpiński przeszedł to wszystko, jak pielgrzym obchodzący ze strachem miasta zarażone dżumą, on jeden może zachował swoję indywidualność, swoję szczérą dziewiczą wiarę, nietkniętą powątpiéwaniem, nieozwianą zgubném powietrzem mędrkowania. Wierzył i ufał. Reszta kollegów jego z małym wszakże wyjątkiem, w zawodzie literackim, dzieci Apollina, kochankowie dziewięciu siostr, nagradzali sobie pokątnémi żartami, w tajemném towarzyskiém kole, publiczne uszanowanie, dawną gorliwość, przykładne zachowanie przepisów i obrzę-

dów, które im w puściznie przekazali ich ojcowie. Jakkolwiek bądź, szczególniejsze to wstrząśnienie, dziwny i niespodziewany ruch umysłowy, miały nie jednę dobrą stronę. Posłużyły one do osłabienia mnóztwa przesądów, wkorzenionych u nas głęboko, pieszczonych z miłością, do których przywyknienie stało się zrzódłem mnóztwa nieszczęść, biorących swój początek od tych czasów gorliwej wiary nierostropnego prześladowania; od tych zamysłów nowych wewnętrznych kreyat, ciemnych i fanatycznych intryg, które były prawie podstawą politycznego bytu, jednego z najprzemożniejszych zakonów.

Taki był stan towarzystwa, kiedy Karpiński wyszedł na scenę świata, z zapasem uzbieranych po szkołach ówczesnych trudnych i mozolnych nauk, których łacina stanowiła całe bogactwo, cały umysłowy majątek. Wychowany srogo przez ojca, przed którym usiąść ni oprzeć się nie można było, Karpiński w dzieciństwie jeszcze, musiał się nagiąć do tego jarzma patryarchalnego po-

słuszeństwa, do tego bezwarunkowego poddania się, zabytków dawnych feodalnych zwyczajów, które najdłużéj u nas gościły, wsparte dawnością, tradycyą, będące, co większa, niezawodną wynikłością i jedną z podstaw dawnego politycznego rządu. Z sercem czułém i tkliwém, Karpiński szukał jakiejś istoty, z którąby towarzystwo dalekie od twardości i dzikiéj powagi ojca, mogło mu dać zapomnieć tego uczucia bojaźni, i trwożliwego uszanowania do którego nawykł. W szkołach, w których się piérwsze wykształcają uczucia, piérwsze niemowlęce stawią kroki w przyszłym zawodzie człowieka, przywiązał się do chłopca podobnego sobie wiekiem, sercem, i tą szczególną władzą atrakcyjną, którą zowią sympatyą, a bez któréj ni trwałości, ni stałego ognia niemasz w żadném uczuciu. To co maluje wiek ówczesny, i to mistyczne religijne wrażenie przyszłego świata, boleści i nadziei, trwogi i ukontentowania, ufności i strachu, jest ta dana sobie wzajem obietnica odwiedzenia kolegi po śmierci, uświęcona ofiarą mszy,

wspólną spowiedzią i kommunią, najświętszémi i najmocniejszémi węzłami, które dwie te istoty jednakowo czułe, wzajemnie łączyły. Przyjaciel Karpińskiego umarł wprzódy; ileż to strachu aby się obietnica nie ziściła? znowu spowiedź, kommunia; a spokojność weszła na nowo do jego strwożonego serca. Tejże samej drażliwości, tej mocnej i czułej duszy, przypisać należy, tę chęć pustelnictwa i męczeństwa, które trzydniowa proba zniweczyć potrafiła. Jednem z najdramatyczniejszych wspomnień młodości jego, tych wspomnień pełnych prawdy i uroku, jest następujący wypadek, którego on sam był smutnym, a razem szczęśliwym aktorem.

«Po skończonym dwuletnim kursie filozo«fii, przyjechałem na wakacye do brata i Ro«dziców. Mieliśmy zawsze największe dla «matki, a najbardziej dla ojca groźnego u«szanowanie. Nie można było w przytomno«ści jego siedzieć, stanąć do niego tyłem, «a nawet o ścianę, stojąc przed nim, oprzeć «się. Pamiętałem zawsze to wszystko, i chę«tnie sobie przykrość zadawałem, bylebym

«ojca nie obraził. Chodził raz starzec po iz-
«bie, a ja z kimsiś rozmawiając wszystkie
«te wyżej wspomnione ostrożności wzglę-
«dem ojca zachowałem, kiedy razem przy-
«stąpiwszy do mnie, ciężki mi on wyciął
«policzek, i znowu po izbie jak przedtém,
«przechadzał się. Kryminałem byłoby się
«spytać: za co to? w milczeniu skromném,
«z oczyma w ziemię spuszczonémi czekałem
«końca, wtém ojciec rzucił mi się na ramio-
«na i mówić ze łzami zaczął: — «Synu mój!
«ja sympłak, bo czytać tylko i ledwo co na-
«pisać umiem, a ty już filozof. Doświadcza-
«łem cię tylko, jak też przyjmiesz policzek
«od ojca twego, ale kiedyś ty skromny i po-
«korny, kiedy mnie w starości mojéj szanu-
«jesz (wtém ukląkł, w pośrzodku izby i
«podniósłszy ręce do góry) Boże Abrahama,
«Izaaka i Jakóba, pobłogosław to dziecię
«moje, niech żyje długo zdrowe i szczęśli-
«we!— Padłem mu do nóg rozrzewniony, i
«wzruszony mową jego, zapomniawszy na-
«wet o policzku który odebrałem, a on
«klęczący do klęczącego mówił rozrzewnio-

«ny: — «Synu mój! szanuj ludzi a będziesz «szanowany; ten policzek, który odebrałeś «od ojca, niech będzie ostatni który ci w ży«ciu dany, a gdyby kiedy do tego komu «przyszło, żeby cię tak skrzywdzić miał, «we krwi tylko nieprzyjaciela twego wzgar«da takowa zmazać się może!”

Zdaje mi się, jakbym widział tego surowego starca, błogosławiącego o tyle nadeń wyższego syna.

Nie będę szedł dalej, za naszym młodym poetą, (bo już nim był, kiedy poznał Justynę) w dalszym zawodzie jego życia. Chciałem tu tylko kilką szczegółami, wziętemi przypadkowie usprawiedliwić szczególniejsze wrażenie, jakie na mnie ta książka sprawiła. Jest w tém opisaniu ta ciągła i jednostajna ufność i wiara, spokojność umysłu, nie masz żadnych drażliwych i szkodzących wspomnień, niewczesnych żalów, skarg i oskarżeń. Jeżeli kiedy jest, to prawdziwie *książka-człowiek*. Życie to jest prawdziwie życiem jego, podobném do czystych wód jeziora, niezmąconego żadną wewnętrzną bu-

rzą. Karpiński pisał tę historyą w podeszłym już wieku, jakże często z przyjemnością wraca do dziecinnych lat swoich, do lat tak mocno uczutych młodości i nadziei! Jak miłośnik ogrodu, który przeszedłszy wszystkie jego części, z szczególném uczuciem powraca do jednej z nich, w której go najpierwej uderzyła czarująca rozmaitość wiosny, i przepych ozdób i wdzięków natury, tak i on także przechodząc dalsze szczegóły życia swego już obywatelskiego i zasłużonego w kraju, wraca często do młodości swojéj, równie wiosny i ogrodu życia ludzkiego!

Mimowolnie po przeczytaniu tych pamiętników przyszły mi na pamięć sławne Spowiedzi (*Confessions*) Russa. Co za ogromna różnica obu tych pism, jedną, zdaje się, myślą natchnionych. Co za szczérość i Chrześcijańska godność historyi, jaka bezczelność i cierpki cynizm Spowiedzi! Obiedwie te biografie są jakby pomniki, prawdziwe, nie skalane fałszem, nie skrzywdzone pochlebstwem, nie zeszpecone zazdrością i żółcią, świad-

czące o charakterze, uczuciach, sercu dwóch ludzi, z których jeden wyższy całą potęgą genjuszu, jakże wiele traci, przy skromnych cnotach drugiego. Jeśli filozof genewski przyznaje się do brudnych nałogów swojej młodości, jeśli nas wciela do tych sprośnych tajemnic namiętności swoich, jeśli niewdzięczny, dla dobra niby ogółu, szarpie i szkaluje poczciwą kobietę, u której znalazł przytułek i schronienie, czyni to z tego niby wysokiego filozoficznego postanowienia, chcącego swoje złe, z ofiarą miłości własnej dadź na przykład i uwagę współczesnych. Ale jakże tu poznać można, w tych nagich ze wstydu opowiadaniach, w tych oskarżaniach siebie, w których może kolory umyślnie cienione, nadają opowiadaniu barwę smutku i żalu, jakże tu poznać łacno można, to ukontentowanie, i wewnętrzną radość, tę pewność, iż on sam, pierwszy ze wszystkich, mocą filozofii, nieugiętej duszy, skruszył te chwalebne, czasem, rokosze miłości własnej, i maluje siebie, jakim był, wiedząc dobrze, jakim bydź trzeba było. Russó ciągle w tym

smutnym pomniku słabości swojéj, rad przed czytelnikiem, uchyla najostatniejszych zasłon, a wchodząc na ten smutny teatr, błędów umysłowych i fizycznych zboczeń, jak aktor zapowiadający nową sztukę, Mości Panowie, zdaje się mówić, macie tu żywy dramat ułomności ludzkich, których filozofija, opiekuńcze bóztwo, samém ich wyjawieniem poniża je i depce.

Karpiński równie przyznaje się do różnych usterków młodości swojéj; świadkiem są te kilkanaście dukatów, wziętych od szlachcica, za podstępne napisanie pozwu. Ale ostatnie słowa umierającego ojca: «Franciszku idź zawsze prawdą na świecie!” wstrząsły silnie sercem młodziana, pieniądze wrócił i strony wadzące się pogodził. We wszystkich wyznaniach poeta nasz jest skromny i cichy, nie masz tam cynizmu w opowiadaniach, nie masz chełpliwości w złém, jest prawda sama najlepszy dowód przeciw występkowi. Obaczmy z jaką skromnością maluje siebie: «Byłem trochę chełpliwym, ale w posiedze«niach, żartach, nie upokarzający drugiego.

«Piérwsze mi własna miłość radziła, a dru-
«giego miłość bliźniego zakazywała. Na nie-
«sprawiedliwości ludzkie oburzałem się, cho-
«ciażby nie mnie były wyrządzone. Na nę-
«dze ludzkie osobliwie biednych tkliwy, i tę
«tkliwość za zasługę sobie nie poczytuję, bo
«serce takie wziąłem od natury, iż z pła-
«czącym nieszczęśliwym łatwo mi płakać
«przychodzi."

I dalej żegnając swoję familiją w tym swoim testamencie:

«Ale obaczę ja i ciebie wkrótce cnotliwy,
«i kiedyś tak groźny dla mnie ojcze mój!
«Niewszystko to ja, nie wszystko wypeł-
«niałem w czém mnie w młodości mojéj na-
«pominałeś, ale przynajmniej, nikomu (jak
«sobie przypominam) krzywdy nie zrobiłem.
«Szedłem, ile możności, prawdą na świecie,
«jakoś mnie konając napominał, i chociaż ta
«droga wiodła mnie czasem do umartwienia,
«ale też ta sama wyznana prawda, (jakoś mi
«to przepowiadał) słodziła potém smutki. Ty
«pewnie u Boga naszego dobrze tam jesteś
«położony, powiedz za dziecięciem twojém,

«że był ułomnym, ale przynajmniej starał «się, ażeby zbrodniarzem nie był.” Wierzył jak mówiłem i ufał, umarł też spokojnie, pełen nadziei w miłosierdziu bozkiém, Russo odebrał sobie życie (?), wiodąc za sobą do grobu, rospacz i smutny przykład nieszczęśliwej śmierci. Tam wiara, tu rozum.

Może ostatnie te słów kilka, nie jednemu niedobitkowi z rozproszonego już dawno wojska mądrych niedowiarków, będą powodem do sardonicznego uśmiechu. Jeśli tak jest, żałujemy szczerze, tych smutnych maroderów błądzących jeszcze po cichszych już polach rozmyślania, szukających walki w wycieńczonych siłach umysłu, powracającego szybko do jedynej podstawy, do jedynego punktu oparcia się, bez którego wszystkie instytucye, są chwiejącą się, i marną tylko budową. Zostały nam wprawdzie jeszcze niektóre symptomata, skutki długiej konwalescencyi, choroby czysto-nerwowe, spazmy wieku, *powątpiewanie* i *szukanie wiary*. Pełne są tego książki, teraźniejszej literatury francuzkiéj. Ale są to tylko błahe ozdo-

by, które sobie przydają, jak kobiety, straciwszy naturalne wdzięki, szukające błyskotek i fałszywej krasy. Rzekłbyś muszki i piętrzone peruki zeszłych wieków.

Co się tycze pism Karpińskiego, i praw jego do potomności, te nam się zdają w części sprawiedliwie nabyte. Karpiński zdaniem naszém nie należy zupełnie do poetów ośmnastego wieku. Jeśli kto, ma on najwięcej prawa do narodowości, to jest, iż w pismach jego widać panujące naśladowanie poetów naszych ze złotego wieku literatury polskiej. Niema on téj francuzkiéj maniery, lekkiego toku, pretensyi do błyszczącego wykończenia, które były cechami wydatnémi współczesnych jego idących torem francuzkich pisarzy. Dla niego przepis Boala *faire difficilement des vers faciles*, nie był kondycyą, *sine qua non*, *poezyi*. W sielankach, pieśniach przebija się ciągłe usiłowanie naśladowania, narodowych dawnych poetów, wsparte silną pomocą pisarzy starożytności, których dzieła były jedyną skazówką, powszechnym typem wszystkich piękności, i ogólnych wzorów.

Z resztą niektóre z tych sielanek stały się śpiewem ludu, a to już jest ich głośną i szlachetną pochwałą. Któż nie pamięta w dzieciństwie swojém, angielskiej gitary, i tych ówwczas śpiewanych wierszy:

Już miesiąc zeszedł, psy się uspiły,
I coś tam klaszcze za borem,
Pewnie mnie czeka, Filon mój miły,
Pod umówionym jaworem.

Nie będę sobie warkocz trefiła,
Tylko włos zwiążę splątany, i t. d.

Karpiński przeszedł cały wiek swój, mało co wziąwszy od niego. Bogaty w pamiątki uroczne złotego wieku, w surowe nauki starożytności, mimowolnie zachowuje wszędzie cechę im właściwą, język, wysłowienie, tok wiersza, które już wtenczas gasły u nas, a które łatwo znaleźć można w wielkiej większości pism jego. Jedyną rzeczą, którą się czepia do ośmnastego wieku, jest kilka małych tłumaczeń francuzkich, i całe tłumaczenie ogrodów Delilla. Jeśli go ujęły, trudna łatwość, fałszywy wdzięk, delikatne rysy,

i sztuczna harmonija wiersza autora ogrodów, które zimne opowiadanie, pokrywały błyszczącym pokostem bujnej imaginacyi, zapłacił tem dług winny wiekowi, który nie ubłagany wciąga w swój wirowy obieg, wszystko co żyje jakiemkolwiek artystowskiem życiem, niewspartém dzielną pomocą genjuszu, który sam tylko oprzeć się może, pożerającej jego władzy. W wierszu swoim do Naruszewicza, któremu przyznaje szczególniejszą łatwość kompozycyi zalety, której zapewne sławny nasz historyk nie miał, ładnie Karpiński ujmuje sobie jego miłość własną mianując godnym jego następcą Kochanowskiego:

O ty! któremu polskie muzy winne
Wróconą piękność i chwałę,
Coś im z rąk pobrał, bawidła dziecinne,
I okrzesałeś zdziczałe.

Coś niedbałością warkocz ich splątany
W porządną kosę posplatał,
I z najpiérwszémi muzami Sekwany
Słodką równością pobratał.

Po Kochanowskim wieniec pozostały
Dwa wieki leżał niebrany,
Na twe go skronie włożył naród cały;
Następco długo czekany!

Psalmy Dawida są największém, zdaniem naszém, prawem jego do potomności. Taka poezya była rzeczywiście poezyą podług duszy Karpińskiego, odpowiadającą jego tkliwym i mocnym wzruszeniom, czułości, i szczególnie wzniosłym a tęsknym uczuciom. W całej pracy tej, widać, iż rad tłumacz przeléwa uniesienia się psalmisty, jego gorącą ufność, wytrwałą wiarę, wołanie mocne, wzniesione, przepełnionego serca. Karpiński uczuł całą prawdę tej poezyi, całą jéj poważną wzniosłość, wysoką godność porównań, szlachetną i surową prostotę. Można być pewnym, iż nieraz w tłumaczeniu, wznosił się i spadał, narzekał wspólnie lub ufał; i często pewnie łza zrosiła powiekę poety, dotkniętego głębokim żalem psalmisty:

Przybądź o Panie! przybądź z swym ratunkiem,
Gdy na cię wołam, ściśniony frasunkiem;

Marne dni moje, jak dym uleciały!
Kości jak suche drzewo wygorzały!

Jestem jak w lesie pelikan schowany;
Jako ptak mocny, w pustkach zamieszkany!
Oczu nie mogłem przymrużyć ze strachem,
Ja biédny wróbel, sam jeden pod dachem!

. . . .

Bóg zemsty Panem! ukarać mu snadno!
Podnieś się Boże, a pyszni upadną!
Długoż o Panie! grzesznicy zuchwali
Będą się z swoich złości przechwalali.

Lud wierny trapią, i kraj twój ploudrują
Wdowę, sieroty, i gościa mordują,
I kłamią jeszcze, w swéj zuchwałéj dumie,
Że Bóg nie widzi, ani to rozumie!

Zważcież o głupcy! i pomyślcie przecie,
Twórca o swoim niewiedziałby świecie?
Tenli nie dojrzy, który oko zlepił?
Lub nie usłyszy, który ucho wszczepił?

Judyta królowa polska, i *czynsz* są mocnym dowodem słabego daru dramatyczności autora. Pod względem sztuki, układu

charakterów, i wiersze nawet nie zasługują na przydłuższą wzmiankę. Słabe są to próby, jakby niedołężne jąkanie, wśród wzniosłych prac szlachetnych usiłowań współczesnych. Niewiem jakiém życiem żyły w dzieciństwie swojém, teraz dawno już, jak mówi wielki nasz poeta, zakryła je fala zapomnienia.

W starości swojej po ciężkich pracach, w których nieszczędził własnych rąk swoich, napisał **K a r p i ń s k i** *Rozmowy Platona z uczniami swymi*, najulubieńszą, jak mówi książkę moję:

«Uczy ona ludzi Religii, jaką naturalnym «rozumem wystawić sobie można, uczy ra«zem i obyczajów, bo myślałem, że może «kiedyś obejrzą się ludzie i przypomną sobie «cnotę, o której dziś zapominają.”

Tu się **K a r p i ń s k i** w życiu domowém zetknął z ośmnastym wiekiem, z tymi *nieznośnymi fircykami*, co to wszystko chcą decydować, nic gruntownie nie umiejąc. Wychowany srogo, w poszanowaniu tego wszystkiego, co było dawném, tych wszystkich

reputacyj ustalonych wiekiem, prawd od tylu lat za pewniki przyjętych, tych praktyk religijnych, czystych obyczajów, i form surowych, dziwnemi mu się zdawały wolność i razem niezwyczajność tych dyskussyj, targających się na rzeczy dawniej święte, które wiek ośmnasty chciał pociągnąć pod kontrolę rozumu, rozumu uszczypliwego z żółcią, dziko sarkastycznego, niewierzącego niczemu, tylko matematycznym dowodom. Obyczaje wówczas musiały dojść zupełnie do ostatecznego kresu swego przeobrażenia, sława Wolterów i d' Alembert'ów, kwitła zapewne blaskiem ogólnego i powszechnego entuzyazmu, a młodzież chwytająca z pośpiechem wszelkie idee nowe, zbaczające ze zwykłego gościńca, pomiatała wszystkiém, odpowiadając na wszystko wierszami *Patryarchy Fernejskiego*, albo rozumowaniami jego uczniów. Tak się nam dają wytłumaczyć te *nieznośne fircyki*, które ostatnią starość Karpińskiego trapiły. Rozmowy Platona są prawdziwym manifestem autora przeciwko zepsuciu wieku, są łabędzim śpiewem poety.

Z kilku szczegółów odrębnych życia jego i z ogółu pism, można łatwo poznać charakter i uczucia Karpińskiego. Niemasz przyjemniejszego zatrudnienia, jak śledzenie tajnych myśli autora, rozsypanych po jego dziełach, obranych niby z rzeczywistego indywidualnego życia, ale noszących na sobie piętno usposobienia moralnego czucia, humoru, przygód, lub chwilowego szczęścia piszącego. Ukrywają się one pod tą siatkową zasłoną fikcyi, która jak łatwo widoczną się staje, jak prędko odsłania się temu, kto się przejął prawdziwie duchem autora, kto, o ile możności, zbliżył się do jego sposobu widzenia, kto roztrząsa przedmioty jego rozumowaniem, ubiera obrazy jego farbami, jego porządkiem rzeczy szykuje. Ileż razy napotkać można myśl, jakby od niechcenia rzuconą wstydliwą, niepewną, której umieszczenie kosztowało tyle autora, a której byt jest często ostatniem wykończeniem jego portretu. Kto się tej łatwej pracy odda z wytrwałością, sowicie wynagrodzony bywa, tem najtajniejszém zwierzeniem się tą roz-

mową, której nieprzerywa żaden uboczny interes, której żadna zazdrość nie mąci, żadne wspólubieganie się nie krzyżuje. Częste myśli, których się autor rad trzyma, częste obrazy, które maluje, są jakby zarysami jego umysłowej fizognomii, jakby pierwszémi liuijami, odznaczającémi okrągłość twarzy jego. Na dopełnienie są te nieprzeliczone mnóztwa odcieni, ukazujące się naprzód w zamglonej, jakby obłokowej formie, nie mającej żadnego pewnego kształtu, ale formującej się pomału w obrazy naturalniejsze, za doskonalszą uwagą; która pokazuje oku wyobrażenie zupełne i pełne prawdy człowieka, obfite w zwierciedle umysłowych skłonności pisarza. Wówczas to schwyciła się nić kłębka, która łacno wywiedzie z tego labiryntu, myśli, uczuć i obrazów na przestrzeń świetną pełną szczérości i prawdy. Robiąc te uwagi stosujémy je do tego, którego kilka rysów życia opisać, i o dziełach jego wzmiankować chcieliśmy, chociaż uczucia i najtajniejsze myśli **Karpińskiego**, tak są łatwe do schwycenia, tak są rozlane

po całéj, że tak powiém, powierzchni pism jego, iż każdy je z łatwością odgadnąć potrafi, rzuciwszy na nie choćby nie bardzo głębokie wejrzenie.

Zawiedziony w nadziejach spokojnego życia, Karpiński może miał zanadto téj czułości, co raz ciągłą niespokojnością nieustanną boleścią trapi serce, znowu go jakiémiś nieznanémi, schwyconémi w lot pociechami ułudza, które tak krótko trwając, jak i przykre istnienie tamtych, odbijają ciągle serce od łagodnych wspomnień, do dręczących pamiątek, niezostawiając miejsca, żadnemu innemu spokojniejszemu uczuciu. Takiému to usposobieniu, winien Karpiński to chwilowe zrażanie się, tę niestałość w zamiarach, ten czasem żal niewczesny do ludzi, którzy mu pewne śrzodki słodkiego bytu nastręczali. W tych i w wielu innych rysach, szczególniejszém podobieństwem Karpiński, zbliża się do Jana Jakóba. Jak tamten lubił on ustronne miejsca, muzykę, naturę, całą harmonją jéj śpiewu, cały urok jéj kolorów, całą niedocieczoną i

niecopisaną barwę, jej pięknej rozmaitości wód, gór i lasów. Zdaje się, iż spokojne miejsca dalekie od ludzi były milszémi obudwóm, jak świat z burzliwym swym ruchem fałszywémi uczuciami, i zimnym egoizmem.

Wystawiam sobie każdego z nich, jednego, na roskosznej wyspie ś. Piotra w śrzód tych olbrzymich obrazów natury, które mu tak silnie uczute dyktowały karty, wśrzód cichych wód jeziora, którego spokojne fale, nogi jego miłośnic zwiedzały, pogrążonego w tém szczególném zadumaniu, które niby jest smutkiem, a tyle przyjemnych mieści w sobie wrażeń, iż wyjść się niechce z tej umysłowej, dusznej, ustroni, skoro nas jaki wypadek pospolitego życia przebudzi.

Takim to zadumaniom winni Francuzi najpiękniejsze karty *Heloizy*, ubrane taką żywością uczucia, takim wdziękiem opowiadania, taką rozmaitością naturalnych kwiatów, takiém bogactwem ozdób, i prawdą obrazów. Znowu wypędzonego z tego Edenu, widzę go tułającego się smutnie, bez przyjaciół, których obrażliwością swoją na-

raził, bez spokojności, którą gwałtem od siebie odpychał.

Zwróćmy wzrok teraz na naszego poetę, zbłąkanego w ciemnościach białowiejskiej knici, trzebiącego własną ręką zarośle i krzaki nędznego gruntu, który mu własnym jego potem zlany, przyniósł przy schyłku dni jego, spokojność i zdrowie. Sam, oddany sobie, na łonie pół-dzikiej tej leśno-bagnistej natury, spoczywał starzec ze swojemi wspomnieniami, i gitarą, żywy na wszelkie wzniosłe uczucia, dzielący się smutkiem każdego, rad z każdego obcego wesela. W ustronném życiu, daleki równie od zgiełku świata, pisał te Rozmowy Platona ostatnie i najmilsze swe dziecię, czas swój dzieląc, między Boga, naturę i ludzi. Do tego czasu mogłyby się przystosować, choć w innem miejscu pisane:

Otoż mój dom ubogi! też lepione ściany,
Też okna różno szybne, piec niepolewany,
I nizka strzecha moja! wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości trochę pochyliło!

Szczęśliwy, kto na małym udziele przebywa,
Spokojny, siadł przy stole wiejskiego warzywa,
Z swéj obory ma mięso, z ogrodu jarzynę,
Z domu napój, i wierną przy boku drużynę.

Konstanty Podwysocki.

20. Lipca 1837. Szaudra.



WYJĄTEK Z POWIEŚCI

KASZTELAN,

CZYLI

POCZĄTEK WIEKU OŚMNASTEGO.

Między ciemne szpalery w arkady strzyżone,
Przezierał stary zamek; gałązki zielone
Na sczerniałych jéj wiekiem filarach się wsparły,
I jakby z ciekawością do okien się darły.
Te drzewa niegdyś daléj pańskich murów stały,
Snieżnej młodzieńczéj ściany dotknąć się nie śmiały.
Lecz dwa wieki minęło: gałązka urosła
I czoło opiekuńcze nad zamkiem podniosła.
Dziś go ubrawszy w liście, osłoniwszy cieniem,
Zimne łono otacza przyjaźném ramieniem.

Liściem, które przed czasy wrót pałacu strzegło,
Przepełznęło pod mury i na dach wybiegło,
Tam na wpół uplątane w warkocz mchu zielony,
Nie może się piąć daléj w ulubione strony.
Zamek był stary, dawny; lecz jeszcze wspaniały,
Jeszcze tchnął wdziękiem życia; gdyż był zamieszkały.
Pan Kasztelan kijowski dni w nim swoje liczył,
Który po prapradziadach zamek odziedziczył.

* * *

Széroki rznięty kanał wkoło wnijścia strzeże,
Za nim mur długi, gruby, a nad nim dwie wieże:
Z nich nieraz nieprzyjaciół śledzili strażnicy,
Nieraz kula świsnęła wypchnięta z rusznicy,
Nieraz na hasło trwogi, gdy trąby zabrzmiały,
Czarne otwory strzelnic ogniem zajaśniały:
Wionęły kłębem dymu i gromów miljony
Rozsyłały jak gońców w okoliczne strony.
Każda kula rozkazy wodza wypełniała,
Ta w piersiach utonęła, ta czaszkę rozbiła;
Każda niosąc zniszczenie, prędko, licznych wrogów
Od warownych murami odpędzała progów.
Tak się broniła niegdyś tego zamku wieża,
Wśrzód napadów tak częstych za Jana Kaźmierza,

Gdy stepy Ukrainy i Podolskie błonia,
Zdeptane kopytami tatarskiego konia,
Tonęły w krwi potokach. Gdy kozackie hordy,
Pod wodzą Chmielnickiego roznosiły mordy,
Nim oręż Czarnieckiego, krwią Szwedów oblany,
Rzucił jarzmo poddaństwa na tłum zbuntowany.
Wtenczas to każdy zamek bronił tylko siebie,
Nie bacząc wspólnych obron, ku wspólnéj potrzebie;
Z tych to ziaren zatrutych, gdy drzewo urosło,
Wydało gorzki owoc i zgubę przyniosło.

* * *

Za życia Kasztelana czasy mniej burzliwe;
Lecz chociaż bez napadów, równie nieszczęśliwe.
Zamek drzémał bez trwogi, wieże cicho stały,
I strzelnice kul gradem sypać zapomniały.
Czasem ozwą się tylko, gdy sąsiad burzliwy,
Za pola poorane, lub spasione niwy,
Zajeżdża z garstką szlachty, w zamek wpada nocą,
Dochodzi krzywd zdziałanych, lub grabi przemocą.
Lecz i zajazd był rzadki: czy to dla bojaźni,
Czy, że Pan zamku z szlachtą żył w zgodzie, przyjaźni.
Częściéj z sześciu moździerzy z hukiem uderzono,
Gdy toast Kasztelana do góry wznoszono.

Kasztelan był lubiony, choć siedział w Senacie,
Lecz zawsze do szlachcica mówił: „Panie bracie."
Kochany, szanowany od wszystkich był stanów,
Niemiał dumy dla niższych, chociaż był Pan z Panów.
Jego ojciec z Sobieskim za państwa granicą,
Gromił Turków leżących pod Niemców stolicą,
Oddział, którym dowodził, godzien był zalety,
Prócz buńczuków, on wydarł sztandar Mahomety;
On tę wielką chorągiew, z godłem Alkoranu,
Złożył w hołdzie od Króla u stóp Watykanu.
Dziad jego wspierał radą rządy Władysława,
A za Kaźmierza z kraju wypędził Gustawa;
Odważny jego pradziad, za Zygmunta Wazy,
Pod murami Smoleńska ranny był pięć razy;
Prapradziad, gdy panował nasz Stefan Batory,
Cnoty obywatelskiéj dawał liczne wzory;
Na sejmie elekcyjnym wiele przeszkód znosił,
Nim Książę Siedmiogrodzkie za Króla ogłosił.
Liczniejsza jeszcze wzmianka przodków Kasztelana,
W Gwagnina i Bielskiego kronikach spisana.

* *
*

Trzeba wspomnieć o herbie, gdyż herb wiele znaczy,
On każdego szlachcica dostojność tłumaczy;

Osiągnąć go nie można pochlebstwem, ni złotem,
Dla tego słusznie sowią rodziny klejnotem.
Pan Kasztelan kijowski był herbu Rogala,
Komu on jest nadany używać pozwala;
Ale wara każdemu kto niejest szlachcicem,
Kto nie był z antenatów osiadłym dziedzicem,
Użył jego klejnotu do swojéj pieczęci,
Wszystkie za tę zniewagę starania poświęci,
By zetrzeć taką hańbę: i tacy zbrodniarze,
Według statutu, srogiéj podlegają karze.
Nie czynił on to z dumy, powinność go wiodła,
By kto czasem nie splamił szlacheckiego godła.
Tarcza herbu Rogala na wpół przedzielona,
Jedna połowa biała, a druga czerwona,
Na śnieżném, czystém polu, bez odmian, bez cieni,
Jak gałąź rozłożysta leży róg jeleni,
Róg bawoli się wije z przeciwnego boku,
Jak gdyby zanurzony cały w krwi potoku.
Nad tą tarczą korona; duch ustaw dowodzi,
Że tu się każdy szlachcic do równych praw rodzi;
Nad nią róg jeden z drugim jeszcze raz się łączy,
I już w całej godności herb Rogala kończy.

* * *

Kolory herbu wszyscy nosili dworzanie;
Sam Kasztelan był często w czérwonym żupanie,
Białą felpą podbitym: na zimę zaś woli,
Dla ciepła, nosić kubrak z kamczackich soboli.
Gdy jechał do Warszawy, by zasiąśdź w senacie,
Kolory województwa miał na swojéj szacie,
Każdy kolor kontusza coś innego wróży,
Po nim już wiedzą w jakiej będzie Pan podróży.
Dziś wyjeżdżał i strojnie i z licznym orszakiem,
I sto koni; a każdy ze złotym czaprakiem,
Z świecącą srebrną uzdą na dziedzińcu stało,
A przy nich stu młodzieńców na wodza czekało.
Gdy z konwokacyjnego sejmu w dóm powrócił,
Wokoło braci szlachtę z uśpienia ocucił.
Oświecił ich co czynił prymas Radziejowski (*),

(*) Po śmierci Jana III. zwołany był sejm konwokacyjny przez prymasa Radziejowskiego; po zerwaniu którego, Radziejowski przeszedł na stronę książęcia Conti, i z całém swojém stronnictwem królem go ogłosił; druga partya, pod przewodnictwem biskupa kijowskiego Dąbskiego i kasztelana Prebendowskiego, utrzymywali Fryderyka Augusta elektora saskiego, i przez nich okrzyknięty został królem; poźniéj, gdy

Jak niesłusznie sejm zerwał poseł Czernichowski (*).
Opowiadał intrygi i królowej wdowy (**),
I posłów zagranicznych prośby i namowy.
Trzeba więc było siły, by temu zaradzić,
I dla tego przedsięwziął szlachtę w dóm zgromadzić,
I z nią śpiesznie polecieć do murów Warszawy,
Sejmu elekcyjnego by uśmierzyć wrzawy.
Wybrawszy się więc rankiem i zjadłszy śniadanie,
Drogim sercu osobóm dawał pożegnanie.

* *
*

Siedział w krześle obitem w aksamit zielony,
Wkoło frendzle wisiały i złote galony,

---

w kilka tysięcy wojska August wszedł do Polski, *pacta conventa* zaprzysiągł, i przez cały naród królem polskim obrany został.

(*) Posłem Czernichowskim był wówczas Horodyński.

(**) Żona Jana III, Marya Kazimira, córka Henryka de la Grange Markiza d'Arguieu, wdowa po Janie Zamojskim wojewodzie sandomirskim, kobieta złośliwa, podstępna, po śmierci króla nienawistna własnym swym synóm, intrygami swojemi usiłowała ich na sejmie usunąć od tronu; za jéj to wpływem i namową sejm przez Horodyńskiego zerwany został.

Swieciły się jak bryła ze złota ulana,
Na tem krześle nie siada nikt prócz Kasztelana.
Przy boku stała córka: oczy w dół spuszczone,
Jakby przez skromność długą rzęsą ocienione;
Lecz gdy czasem powieki podniosła do góry,
Słabiej oko księżyca rzuca wzrok na chmury,
Słabsze wejrzenie gwiazda po niebie roztoczy;
Bo nad księżyc, nad gwiazdy piękniejsze jej oczy.
Na jéj licu rumieniec młodociany płonie;
W Maju pięknemi farby kwiecą się jabłonie,
Czerwiec rzuca na różę z kraśnych pączków wieniec;
Lecz nad jabłoń, nad różę świéższy jéj rumieniec.
Usta jéj jak z płomienia: czasem morskie fale
Przypędzą na brzeg kraśne muszle i korale,
Lecz nie ma takiéj farby oceanu łono,
Jaką krasą czarowną jéj usteczka płoną.
Piękność była skończona. Każdy o tém wiedział.
Nieraz ojciec przy śpiącej całą noc przesiedział;
Po pięknych rysach twarzy okiem tkliwém wodził,
I bojąc snu przebudzić, na palcach odchodził.
Z drugiej strony stał młodzian, spoglądał wesoło,
Miał oko pełne życia i wzniesione czoło;
Już miękki wąs półcienia jedwabne zasadził,
Którego prawą ręką wciąż pieścił i gładził.

Spójrzawszy na młodzieńca, każdy śmiało powié,
Że w nim mieści się zapał, odwaga i zdrowie.
Bolesław wychowańcem będąc Kasztelana,
Kochanym był od niego, i prawie, co rana
Razem go z córką pieścił, czasem go całował,
Mówiąc, że testamentem dwie wsi mu darował.
Nie tylko, że Bolesław znał się już z stolicą,
Lecz kosztem Kasztelana bywał za granicą.
Bystrego był objęcia, korzystał z podróży,
To wszystko chlubną przyszłość dla młodzieńca wróży.
Opodal stał Kapelan, mądry Jezuita,
Twarz choć młoda, lecz wielu zmarszczkami pokryta,
Widać, że jakieś burze lica odmieniły,
I młodociany uśmiéch mrozem skrysztaliły.
Chociaż był jeszcze młodym, ale część już głowy,
Jak liście nieopadłe bielił szron grudniowy.
Był to jeden z młodzieńców, którego bieg życia
Wichrem leci w świat przeszły; który od powicia
Do końca lat młodzieńczych przeżył życie całe,
Swietne w dramata wielkie, silne i wspaniałe.
Lecz nikt o nich nie wiedział, nikt nie śmiał się pytać,
Choć z rysów jego dzieje łatwo było czytać.
Od lat kilku przebywał w Kasztelana dworze,
Obowiązki swe pełnił w przykładnéj pokorze;

Ocierał łzy ciérpiącym, ubogich ratował,
A Kasztelan go za to lubił i szanował.

* * *

Zaczął się wkrótce przykry moment pożegnania,
Po którym się przywlekła godzina rozstania;
Dla serc tkliwych, uczuciem powiązanych z sobą,
Taka chwila jest zawsze przywdziana żałobą.
Łza czułości ojcowskiéj oblała źrzenice,
Lecz bała się wytoczyć na poważne lice,
Bo Kasztelan nie lubił smutku okazywać,
I starał się łzy gorzkie uśmiéchem pokrywać.
Mówił, iż jest spokojnym, nic się nie obawia,
Gdyż na swém miejscu ojca drugiego zostawia.
I wskazał drżącą ręką na księdza plebana,
Który z żywém uczuciem ścisnął mu kolana.
Młodzieńca i dziewicę pocałował w czoło,
Pożegnał, i w kolaskę rzucił się wesoło.
Woźnica z bicza trzasnął, konie poleciały,
I po trakcie warszawskim w kłęby kurz zwijały.

Michał Jezierski.

STANOWISKO RELIGIJNE DZISIEJSZYCH PISARZY FRANCUZKICH.

Świadectwo, które, przede wszystkiém, daje dzisiejsza literatura francuzka o stanie moralnym pisarzy tego narodu, jest świadectwem nieufności i rozczarowania w polityce, niesfornego krążenia około prawdy w Religii.

Jedną albowiem z idei, które najsilniej warzą się i przestrajają teraz w głowach téj nerwowéj massy, jest *idea Religii.* Ważną

jest rzeczą wiedzieć rewolucye, jakim podlegała w nowej Europie ta idea główna, ta myśl syntetyczna, ten filar, że powiem, od którego kierunku reszta proporcyi budowy towarzyskiej nieodmiennie zależy: *Religija*, tém ważniejsza teraz, kiedy zdawać się może, że jesteśmy świadkami ostatniego podobno jej kolebania, nim się gruntownie i mocniej niż kiedykolwiek ostoi. Katolicyzm, który niesprawiedliwie niektórzy z marzycieli (o jakowych właśnie mówimy), naginają do różnych historycznych znaczeń, (*np.* mówiąc, że Chrystyanizm miał różne epoki, i tak: 1szą epokę moralną, 2gą katolicką, 3cią nakonice będzie miał organiczną). Katolicyzm, w naszém rozumieniu, nie jest co innego, tylko to, co zawsze znaczył, Wiarę powszechną. Jouffroy, podobno, powiedział, że sekty, odszczepieństwa, herezye jakiej wiary, są tylko rozwinięciem różnych stron, różnych cząstkowych prawd, pojedynczych wynikłości tej wiary; w takiém znaczeniu nawet, Katolicyzm byłby jeszcze gangljonem głównym całego systematu, punktem

jego żywotnym i centralizującym, duszą. Lecz krócej i prościej mówiąc, Katolicyzm wyraża wiarę, wiarę, jako myśl syntetyczną, niepodlegającą przeczeniu i analizie, wiarę według pięknej definicyi Maurycego Mochnackiego, w liście 1829 r. do mnie pisanym: «Wiara jest przekonanie niezachwiane «i wnętrzne, o tém, co jest poza granicami «grobu i wiedzy naszej.» Wiara samodzierżawna, spokojna w sobie, błoga we wpływie swoim na wiek i generacye, które osłania, źrzódło całego moralnego porządku swéj epoki: jest Katolicyzm. Ciosy jemu zadawane, są właściwie zadawane saméj Syntezie wiary, są przemienieniem téj syntezy w analizę. Fakta historyczne doskonale to wyjaśniają.

Z najwznioślejszego punktu patrzenia na historyę rodu ludzkiego, dwa działy tylko widzieć się dają w téj historyi, do objawienia i po objawieniu, jak pospolicie erę znaczą przed Chrystusem i po Chrystusie. Nowa Europa, 18ście wieków ubiegłych, my jesteśmy płodem najkrewniejszym, najma-

cierzystszym tej drugiej epoki przeobrażonego świata. Historya niech powie, jak wysoki typ moralny znamionuje wszystkie kreacye tej epoki; niech wyliczy szereg faktów cudownej wysokości, piękności i poezyi, który w jej łonie, z tej jedynie idei syntetycznej wynikał; niech da zauważyć, że ten łańcuch postępnych cudów, szedł krokiem z całością wiary, zatrzymywał się, jeżeli nie zrywał zupełnie z jej osłabieniem, wstrząśnieniem. Widok tych perspektyw moralnych i duchownych, któremi Chrystyanizm zabudował od 18stu wieków mur praktycznego życia ludzkiego, jest zdumiewający; lecz my nie zatrzymujemy się nad tem dłużej, bo są to rzeczy dziś powszechnie wiadome, prawdy za niewątpliwe uznane (*).

(*) Czy także i u nas?.. śmiać się z księży i papieża, powtarzać zwietrzałe drwinki Woltera, nie uchodziż jeszcze za rozum?... Lecz to jest jeszcze śniedź dawna. Skoro się dowiemy, że to już przestały bydź *rzeczy rozumne*, przestaniemy i my *dźwigać* (jak mówi jeden pisarz) *ogon opinii ośmnastego wieku*. Odebrane w tym momencie dwa

O Chrystyanizmie powiedział Benjamin Constant, że on się przynarawia doskonale do stanu cywilizacyjnego ludzkości. Nie posuwając tego zdania równie daleko, jak to ten pisarz i inni jego stronnictwa czynią, znajduje jednak w pewnej mierze to powiedzenie sprawiedliwém, i z tego punktu jedynie godzą się z reformacyą, jako z faktem

---

pierwsze numera nowego pocztu Wizerunków i Roztrząsań Naukowych, utwierdzają mnie w miłej nadziei, że sposób widzenia znakomitych dziś mężów w Europie, ważnego przedmiotu Religii, dojdzie wkrótce i do nas, że zdania nowoczesne o Chrystyanizmie upowszechnią się i między naszémi oświeconémi klassami. Dwa pisma polskie: Kwartalnik Naukowy Krakowski i Wizerunki wychodzące w Wilnie, podzieliły pomiędzy sobą prace oznajomienia nas z wyższem i zdrowszem pojmowaniem dwóch czelnych gatunków wiedzy ludzkiej, pierwszy *filozofii*, drugi *Religii*. Nie możemy dosyć zachęcać naszych czytelników, ażeby nie dopuszczali (co aż nazbyt zwyczajną u nas) żywić się samym tylko molóm temi dwóma zbiorami pism, czyniącemi rzetelny zaszczyt naszemu piśmiennictwu.

historycznym, przeznaczonym ideę religijną wyprobować, i tém głębiej, sposobem dzisiejszemu stanowi umysłów odpowiednim, wkorzenić. Póki nauka katolicka była burzona prześladowaniami, okupowała jawność wyznania męczeństwami, rozdziérana była herezyami, dręczona wadami, wciskającémi się w jej łono i zarażającémi nieraz nie tylko jej członków, ale nawet głowy, jej rewolucye, że powiem, wewnętrzne, domowe, które w jej własném łonie rodziły się i gasły, były to rany, które zagojone nie zostawiały blizny. Lecz kiedy w 16tym wieku reformacya objawiała z zuchwałością zrzuconej maski zasady swojej nauki, Katolicyzm, ogólnie Chrystyanizm, zachwianym został do gruntu, cała przeszłość jego runęła niepowrotnie, i z tego stanu przesilenia musiało wyniśdź, lub mocniejsze, jak przedtém, zdrowie lub śmierć. Czujemy ostatnie drgania téj konwulsyi krytycznej, chociaż już oznaki wyzdrowienia rozpoznawać się dają. Reformacya bowiem była tém samém dla idei syntetycznej Religii, czém metoda

Bakona dla nauki: godłem jej jak tamtej mogło bydź: *doświadczaj*, zamiast *wierz*, albo raczéj *doświadczaj nim uwierzysz*. Lecz w rzeczy wiary, pierwiastek ten rozumowania, jak skoro raz został wniesiony, musiał rozwinąć się do wszelkich ostateczności, aż póki się niewyczerpał i sam własnego nicestwa i nieudolności, w téj mierze, nie wykazał. Otoż to jest właśnie nasze dzisiejsze stanowisko. Wszystkie napady na Religiją, jakeśmy widzieli, sceptycyzm, filozofizm przeszłego wieku, obojętność religijna niedawno jeszcze powszechna i dzisiejsze dziecinne próbki nowych systematów wiary, są koniecznémi wynikłościami reformacyi, są jakby tyląż posłanémi expressyami piérwszego nieufnego słowa reformatorów. Żywot bowiem rozumowania i krytyki, z natury swojéj drobiazgowy i niepojmujący rzeczy, tylko w jéj ułamkach i cząstkach, skoro raz zaczął toczyć ideę najrozciąglejszą, lecz niemniéj najbardziéj całkowitą i pojedynczą w sobie, ideę Religii, wtedy niepostrzeżenie cząstka po cząstce, cegła po cegle, rozburzył cały

gmach, któregoby nawet ogółu i architektoniki objąć i obejrzeć nie sprostał. Dla tego też zaraz w rzeczy, w najpospolitszych względach, zaprzeczonej, wylęgała się naturalnie obojętność i lekceważenie: filozofowie więc 18go wieku, zastali wszelkie pomoce do dzieła zniszczenia, które rozpoczęli i rozsiewaniem łatwych a pozornych rozumowań, bronią dowcipu i śmieszności, zaprawą politycznych teoryj, łatwo dowiedli Europie, a szczególniej Francyi, że się tłum zaczął passyonować fanatyzmem niedowiarstwa, że przyjęto bezspornie filozofiję własnego interesu, wiarę w przyjemności materjalne i życie doczesne; słowem, że zaprzestano *wierzyć w* Boga, co wyrzeczenie się wszelkich moralnych zasad i nadziei najdoskonalej wyraża. Lecz tryumf *rozumu-zwycięzcy* skończył się na tem, że go obwieziono, w postaci dziewki nierządnej po ulicach paryzkich. Chwilowy szał głów nie mógł wykorzenić z najprzepaścistszych głębiń duszy wewnętrznego przekonania, wiecznej nadziei, z którą się człowiek rodzi i umiera.

Wiara była jak słońce podczas krótkiego zaćmienia; niewątpliwe, chociaż niewidoczne, samo zaćmienie nie mogło trwać czas długi. Dogorywający wiek 18sty, jak Saturn, zaledwie swój płód porodził, pożarł. Władza rewolucyjna sama, która wtedy krwią polewała zasiew wyobrażeń nowego porządku, uczuła potrzebę zaprzeć się uroczyście zdań ateizmu. Wykrywała się tu i ówdzie reakcya przeciw niedowiarstwu filozofizmowi. Tolerowany w czasie walki, okrywający się zwodnym pozorem śmiałości i grożącego mu niebezpieczeństwa, jak skoro został bezpieczny i panujący, musiał się okazać czem był, płytkim i poziomym, wiodącym do zastosowań w życiu upadlających i bydlęcych; chwilowe jego tronowanie dowiodło jedynie do uznania powszechnego i głośnego téj prawdy, że *brak Religii jest przeciwnym naturze*, że *go nie ma w naturze.*

Tymczasem Chrystyanizm, podczas mniemanych swoich porażek, zyskiwał istotnie na siłach, ugruntowywał się przez wyprobowanie. Historyczne jego tradycye, za-

przeczone przez przeciwników Religii i przedmiot drwinkowań i płytkich ich wywodów, stawszy się potém przedmiotem uczonej polemiki, za rozszérzoną nauką jeografii, archeologii i języków Wschodu, zostały w pełni usprawiedliwione i utrwalone; przegrana w tym punkcie, odjęła napastnikóm Chrystyanizmu tę sławę uczoności, z której takową broń przeciwko niemu kuli. Z innego znów nierównie ważniejszego względu, nauka Chrystusa w wyższej stanęła cenie: moralność tej Religii, przymiot, którym się ona od wszystkich innych odznacza, (bo inne są jeszcze prosto obrzędem, u niej dopiéro obrzęd łączy się ściśle, jest tylko jakby zewnętrzną suknią nauki); moralność ewangeliczna, nawet od przeciwników została uwielbiona, za najczystszą, najprostszą i nawznioślejszą, jaka kiedykolwiek ludzióm była znajoma, uznaną. Sami nieprzyjaciele Kościoła, uderzyli przed nią dobrowolnie czołem (R u s s ó). Zkądinąd dojrzalsza nauka historyi wykryła poważne miejsce, jakie Chrystyanizm w dziejach rodu ludziego zaj-

muje; dobrodziejstwo, jakie nań zlał, znaczenie jego historyczne, przyszłość, którą sobą ogarnia. Dzisiejsza filozofija historyi, (nauka, która niewątpliwie odkrywa wielkie i nauczające widoki, choć częstokroć zapuszcza się zanadto daleko) odsłania tę ważną prawdę, że dziś trzy odrębne cywilizacye: Religijne dzielą ród ludzki, to jest: Chrześcijańska, Mahometańska i Brahmińska, i że z tych jedna, Chrześcijańska, bezsprzecznie znajduje się w chodzie postępnym: wykazuje przeznaczenie podbić nie tylko resztę plemion dzikich, ale i zwolenników dwóch drugich (*).

(*) Tę uwagę robi P. Teodor Jouffroy filozof francuzki, w artykule: *de l'etat actuel du genre humain.* Pierwsza część tego pisma jest z wielu względów ciekawą i ważną. Wykład autora, tych trzech Religij, które są jak trzy systemata, w łonie których krążą dziś wszystkie ludy, ożywiające naszę ziemię, wykaz przeważającej żywotności i siły w Chrystyanizmie, ciekawy obraz wpływu wywieranego przez Chrystyanizm i Europę na Azyą, z dwóch stron, przez Syberyą, gdzie działa Ros-

W takim stanie rzeczy, najkrótsza byłaby droga dla społeczeństw, które uległy nieszczęściu zbicia się w obłędne teorye czczego filozofizmu, wrócić na tor dawny, pojednać się całkowicie z wiarą przodków, z tą wiarą, która jest prawą, rękojmią mądrości

---

sya, i przez Indye, gdzie panuje Anglija. Są to wszystko ciekawe i dobrze wyłuszczone prawdy. Na to miast druga część tego artykułu usprawiedliwia zrobiony przez nas powyżéj zarzut filozofii historyi, że się nieraz w obłędne zapuszcza widoki. Z tego niczém nieograniczonego i ogólnego punktu, łatwo, za pomocą giętkiej dyalektyki, dowieśdź rzeczy do najopaczniejszego tłumaczenia, i myśleć, że widzimy tam, gdzie jak gdyby *materjalnie* możność nasza dosięgania myślą ustaje. Takim sposobem wyłożywszy, że na czele przodkującéj drugim cywilizacyi chrześcijańskiéj, stoją dziś trzy narody: Niemcy, Francuzi i Anglicy, (co że nie jest zupełną prawdą, sam się postrzega, bo zaraz do tamtych trzech dodaje czwartych Amerykanów, a to nie jest jedyną poprawą, na któréjby powinien był przestać), i że te narody obdarzone są trzema oddzielnémi przymiotami; Niemcy nauką, Francuzi darem wyciągnienia z nauki myśli filozoficznej, Anglicy zdolnością zastosowania tej myśli

i wszelkiéj spokojności, która, jak pięknie powiedział Montesquieu: «Rzecz dziwna, «religija, która zdaje się nie mieć innego «przeznaczenia, jak uszczęśliwić nas w tam«tém życiu, i w tém nas uszczęśliwia!» Społeczeństwa całéj Europy, dążą też istotnie do

---

do praktyki; zamiast przyznać piérwszeństwo przed innemi ostatnim, (co w takiém założeniu jest nie do uniknienia, bo dwa piérwsze perjody są oczywiście przygotowaniem do trzeciego). On naprzekor logicznemu ciągowi własnego rozumowania, sili się utrzymać piérwszeństwo za Francyą. Tu więc następują zaraz pyszne deklamacye filozoficzne i metafizyczne samochwalstwo; a kiedy kończy swój artykuł zaciekaniem się, jak ministrowie francuzcy powinni mieć we wszystkich czynnościach swojéj administracyi, te tylko co wyłożone widoki na uwadze, jak bez tego będą błądzić, jak mylną będzie droga chodu rodzaju ludzkiego, kiedy ten straci z oczu prawdy, które mu ów P. Jouffroy dopiéro w roku 1834 ery odsłonił, wtedy zamiast dalszego ciągu myśli filozoficznych i z wielu miar prawdziwych, spotykamy się znowu z tém szarletaństwem, którym (trzeba wyznać) przesycili nas nowi uczeni francuzcy.

tego, ale to nie od dzisiaj jeszcze podobno może przyjśdź do skutku we Francyi.

Nim to jednak nastąpi, Religija, nowa Arka przymierza, wybija się widocznie nad fale potopu, gotując odnowione życie dla odnowionego świata. Patrzmy! jest ona też sama, co była dawniéj, tak samo święta, lecz inaczéj dziś niż przedtém, stawi się za grunt moralnego żywota ludzkości: wszystkie jéj kardynalne prawdy, przeciwko którym napróżno walczył rozum, są dziś przezeń dobrowolnie przyjęte i przeświadczeniem umném w przekonanie wszczepione. Rozdwojone długo wiara i rozum, pojednały się z sobą; piérwszy się jak podstawa, druga jak wieniec moralnego chramu człowieczeństwa rozmieściły. *Istność Boga*, *Nieśmiertelność duszy*, artykuły kardynalne wiary, stały się najjawniejszémi wszelkiemu rozumującemu umysłowi prawdami. Może jeszcze nieprzestają one bydź wątpliwémi dla jakiego zarozumiałego nieuka, który wśrzód postępnéj Europy, żyje łachmanami przeszłowiecznéj opinii; ale dla ludzi XIX wieku,

dla tych, którzy są na stanowiskach czelnych tego wieku umysłów, którzy sami przeszli przez szkołę wątpliwości i zaprzeczeń, i w dobrej wierze, szukali dojśdź krytycyzmem rozumu, dokąd on dowieśdź potrafi; dla tych te wielkie prawdy są matematycznie pewne, są jasne, są właśnie z korzeniem wszelkiej władzy rozumowania nierozdzielnie zrosłe. Z wierzchołka tych wysokich przeświadczeń, spływa *wiara świadoma o sobie*, wiarę w te dwa moralne pewniki, w ogól ducha całego wieku. Żyje ona w filozofii, albo raczej żywi sobą filozofiją i metafizykę; przyświeca wszelkim naukóm, dysze w poezyi, wsiąknęła tak dalece w powietrze codziennego życia, że ci nawet, co najgrubiej błądzą, co do samych opinij religijnych; mają jednakże tę ich zasadę, te dwie prawdy: *Istności Boga* i *Nieśmiertelności duszy*, za dwie gwiazdy stałe i niezmienne.

Wielką prawdę, którą rozumowanie i proba doświadczeń zamieniły w prawdę powszednią, jest: potrzeba *kommunikacyi pomiędzy Stwórcą a stworzeniem*. Rojenie O-

patrzności nietroskliwéj i człowieka zdolnego się rządzić własnym rozumem, te wzniesienia myśli i serca wyżéj nad sferę materjalnych interesów, okazały się marzeniem saméj zarozumiałości, a grubéj nieznajomości natury ludzkiéj. Tą kommunikacyą jest Religija, tryb jéj mniéj więcéj wzniosły, mniéj więcéj czysty, stanowi zacność typów moralnych, decyduje charakter wszystkich faktów, od najwyższych do najdrobniejszych. Zwierciadło historyi tak jasno tę prawdę wyznaje, że stosownie do tego łatwo ustanowić stosunek, nie tylko narodu do narodu, wieku do wieku, ale nawet indiwiduum do indiwiduum, po długiéj linii szczeblowania, od bydlęcia do najwznioślejszego rozwinienia, dostępnego człowieczeństwu.

Ta potrzeba kommunikacyi pomiędzy Stwórcą a stworzeniem, jak skoro raz została w rozumne przekonanie przyjętą, naturalną byłoby rzeczą chwycić się drogi takowéj kommunikacyi, téj właśnie, którą mamy pod ręką, a którą uznaliśmy sami za najczystszą i najwznioślejszą, jaką miał kiedy-

kolwiek ród ludzki, po przejściu długich a ciężkich kolei, w które nas zawiodło pierwsze roztrząsanie dogmatów Chrystyanizmu, należało wrócić na jego łono, nie ze ślepą (jak dawniej mówiono) wiarą, ale z wiarą jasną, z ufności wynikłą, drogo opłaconego rozbicia, nie jest ten prosty mechaniczny chód rozumu ludzkiego. Na głębiach, gdzie niedawno grzmiała powódź niedowiarstwa, rozchodzą się jeszcze kręgi i woda doskonale wygładzić się nie może. Umysły we Francyi stanąwszy już na punkcie uczutéj potrzeby religijnej kommunikacyi, lecz nie wynalezienia *jedynéj miary zaspokojenia takowéj*, gubią się w wynajdowaniach nowych religij, dogmatów spirytualnych teoryi. Ztąd to zacząwszy od Sycjesowskiego teofilantropizmu, dzisiejsze usiłowania utworzenia odrębnego Narodowego Kościoła, Sensymonizm, Neochrystyanizm, wiara ogólna w przesilenie niedowierczej Europy i w przejście blizkie nowéj syntezy religijnej. To niespokojne miotanie się duchów, te proby niedołężne, świadczą przynajmniej głośno, że żadne to-

warzystwo ludzkie, bez Religii, jak bez powietrza, obydź się nie może; w braku jej ludzie cierpią, życie ich historyczne karłowacieje i wysycha. Te apostolstwa nowych wiar, podejmowane przez młodych pisarzy, ta łatwość mass w ich przyjmowaniu, ta pozłotność wszelkich spirytualnych opinij, dowodzi niezaprzeczenie, że oschłość sceptycznych teoryj, ich zgubny wpływ na życie społeczeńskie, zostało ocenione dostatecznie, i że wszystkie umysły chętnie się garną pod każdy cień obiecującej religijnej ochrony. To usposobienie jest błogie, marnieje ono dotąd jedynie ostatkiem przeszłowiecznej zarozumiałości, że rozum, który nareszcie uznał za konieczność Religije, jest w siłach stworzenia dla siebie bezpośrzednio takowej. Marzenie! Uprzedźmy nieochybny wypadek rzeczy: powiedzmy, że dogmatem, do którego powrócić trzeba, do którego nieochybnie powrócą we Francyi, *jest* Katolicyzm. Każdy, kto choć trochę ma znajomości serca ludzkiego, wie, że dla zaspokojenia jego, trzeba czegoś jak wędzidła, które sami na

siebie włożymy; każdy dogmat religijny, który sami wymyślimy, w dniu obecnym będzie czczą dekoracyą z opery, niczém zaś więcej. Żeby wiara nasza była czémsiś rzeczywistém, trzeba, żeby to była wiara mass nie pojedynczego indywiduum, połączenie, w którémby przekonanie pojedyncze zlało się i istniało w zezwoleniu wielkiej powszechności, gdzieby dogmat jakkolwiek rozumowanie wytrzymujący, był wyniesiony nad rozum, gdzieby przepis i hamulec zakonu był stały, a nie mógł bydź według woli każdego skracany lub przedłużany. Tém to się różni wiara, wiara stała, wiara wyznawana od płatków religijności, które każdy człowiek mniej więcej ma wrodzone, lecz które jeszcze nie są wiarą, ani jéj zastąpić mogą. Do takowego to najdoskonalszego stanu określenia, wielka budowa religijna dochodzi, Chrystyanizm w Katolicyzmie. Ta niezmienność jego i ta niedostępność rozumowania, jednem słowem, ten absolutyzm jego, jest właśnie tą opoką, na której zbudowany jest kościół, i który go właśnie

czyni najprzyzwoitszą schroną dla wielkiego i niemal pewnego umysłu ludzkiego. Władza jego skoncentrowana w thiarze, widomém namieśnictwie Chrystusa, ogarniająca wszystko siecią ustanowionej hierarchii, zmieniająca się w prawodawczą i reformacyjną w powszechnych Soborach kościoła, nie tylko, że jest najmędrszym ze znajomych kształtów zarządu, nie tylko, że niedopuszcza lada komu nieść samowolnie niepokoj w sumienia drugich, lekkomyślném mędrkowaniem, ale nawet widokiem téj poważnéj reprezentacyi wszystkiego, co jest moralnie wielkiém na ziemi, zawstydza wszelkie pokuszenie się takowe, każdą pojedynczą oppozycyą, któréj właśnie najmniejsze umysły są najlakomsze. Do sprawdzenia tak nazwanej reformacyi i wszystkich jéj następstw, trzeba było najprzydatniejszej pory historycznej, która tam miała miejsce i dopuszczenia bożego; lecz która więcéj może się nie powtórzy; przynajmniéj sami nauczeni doświadczeniem i następne pokolenia przykładem naszym, strzedz sami

będą nietykalności kościoła, w której jedynie jest rękojmia naszego własnego pokoju. Ztąd to za ustaleniem się jedynie Katolicyzmu, skończy się burza umysłowa, we Francyi do dziś dnia grassująca na polu myśli, zamknie się nareszcie ów kościoł dwulicego Janusa, który od dwóch wieków, z biedą Europy, stoi otworem.

Z innego względu, kiedy się czyta utopije dzisiejszych autorów, a szczególniej francuzkich, o przyszłych losach świata, nie może mi przyjśdź na myśl, że jedyna nauka, która może dzielnie wpłynąć na dalsze życie historyczne Europy, jest powrót do starej przodków wiary. Naprzód ona to jedna może zespolić ściśle przeszłość z przyszłością, co nie tylko jest warunkiem każdego postępnego chodu, ale nawet rzeczywistego bytu; potém ona to uspakajając i ciesząc wszelkie zaburzenia wewnętrzne, wróci energiją sił zewnętrznych narodóm i położy koniec temu, jakeśmy powiedzieli, karłowacieniu życia, tak widocznému w naszych czasach; ona wróci rodowi ludzkiemu mo-

ralną dążność, dziś w grubych instynktach własnego i materjalnego interesu zatraconą, wniesie w towarzystwa ludzkie nasiona sympatyi, miłości i braterstwa i wzajemnej pomocy, niegdyś prostém mianem miłości bliźniego objęte, wprowadzi w życie historyczne ruch na miejsce zwrótnego krążenia około siebie samych, stopi lenistwo i obojętność gorącem swego prozelityzmu, który wiémy teraz, że ku tak błogiemu jest skierowany celowi; nareszcie ona jedna tylko dziś rzeczywiście *jest*, kiedy wszystkie inne systemata tylko się *wymarzają*, ma zarówno warunki trwałości i postępu; i takim sposobem, podczas nawet, kiedy doskonali i sprostowuje swój ogólny porządek, mocą wewnętrznej swojej energii, indywiduom szczęście i spokojność zostanie. Wzór wielki a niepoznany!

Tak więc, zdaniem naszém, prosty powrót do Wiary przodków, do Religii ś. Rzymskiej Katolickiej, jest tą nową syntezą religijną, w której jest zbawienie sceptycznego wieku, jest tém odnowieniem pożądaném i

tą nową erą, której przyjście z różnych stron głoszą. Młodzi pisarze, filozofowie, historycy, poeci, którzy jéj wyglądają i na obłokach upatrują, nie wiedzą, że ona już dawno przyszła i zostaje w spokojném posiadaniu ubogich i skromnych; możnaby powiedzieć zresztą, że dla tych wielkich pisarzy nie jest (że niegrzeczniéj się wyrazimy) zupełnie rozumną rzeczą, to spodziewanie się *czegoś*, *czego sami nie wiedzą*.... Jeśli istotnie chcą wiary, spełnienie ich życzeń bliższe i łatwiejsze jest, niż myśleć mogą. Na to nie trzeba wielkich zachodów, szczególniéj nie trzeba wielkich zaciekań, bo i tak mędrkowania aż nadto było; zostaje to tylko zrobić, czego codzień pojedyncze są przykłady grzeszników, którzy chcą się pojednać z Bogiem, obłąkanych co wracają na dobrą drogę, ludzi co zgruntowali nicość światowéj mądrości i do jedynéj, wiecznéj i gruntownéj prawdy dążą: po miastach, po wsiach stoją jeszcze kościoły, nie umilkają ciche słowa Ewangelii, stoi przystępnym trybunał pokuty; przed tym należy uklęknąć,

zrzucić z serca śniedź nieszczęśliwą wieku, ukalać w proch czoło i ukorzyć rozum. Tak wstąpiwszy nanowo na próg świątyni, nie rozprawiać o tém, nie pisać, nie rymować; ale postępować z powagą przyzwoitą ludziom, poczynającym sprawę ważną i z gruntownego przekonania: uczucie głębokie osłania wstyd, milczenie; wtedy lata, które każdego z nas, chcącego i niechcącego, wiodą ku dwóm wielkim nauczycielom, *starości* i *śmierci*, utrwalą nas w posiadaniu nowych skarbów, wiary, skromności i prostoty; nastąpią po nas drugie pokolenia, wolne od zawodu obłąkań, któreśmy przebyli, a nauczone naszym przykładem, wychowane w świątyni, a ostrzeżone, że za jéj progiem jest przepaść; i wtedy to era odnowienia będzie. Za niedojściem do tego punktu, a jednak za zbliżeniem się do niego, wre ten ruch w młodej literaturze francuzkiéj: wszystko, co pisze, powtarza ciągle wyrazy: Bóg, *Religija*, *Chrystyanizm!* ale dotąd są to niewysłuchane wezwania. Od Lamartin'a, który w tysiącach warjantów przelał już te

pomysły, do biédaka Drouineau, który swojemi romansami myśli przyśpieszyć przyjście Neochrystyanizmu, wszystkie głowy marzą o wierze i jej cudach, a jednak wziąwszy wszystko, co o tém powiedziano, rymowanego i nierymowanego, niewyciśniesz z tego ani jednej idei dokładnej: to jeszcze jest chaos przygotowawczy, najwięcej, jeżeli można powiedzieć, uczucie religijne, ale nie wiara. Tymczasem pisma te, jako popularne, jako stanowiące łatwo literaturę, rozchodzą się széroko, przychodzą także i do nas; czyta je nasza młodzież, kobiety. Łatwość i błyskotność stylu, uprzedzenie nasze o przodkowaniu francuzkiej cywilizacyi i wadze zjawisk powstających w jej łonie; sama pozorność tych maxym, tak pięknie rozprawiających o Bogu i Religii, mogłaby je postawić u nas w wyższej cenie niżeli są warte. Czytelnicy tych poezyj, tych romansów, mogliby je wziąć za płód towarzystwa religijnego, za rozwinienie ascetycznego stanu sumień. Tak nie jest, od tych kwiatów wałęsającej się po-

bożności, od tych religijnostek, daleko do Religii!

My Polacy, jeżeli trwamy w uczciwych zasadach naszego domowego wychowania, my, przy naszém cichém i nieblyskotném wierzeniu, i wyżej i dalej nierównie jesteśmy od tych wszystkich pseudo-poetów i pseudo-filozofów, zamiast iśdź uczyć się czegoś od nich, wiedzmy, że to *oni do nas* tak krążąc i chwiejąc się powracają. Wiedzmy, że ta wystawa pyszna moralnych płatków religijności nie dowodzi posiadania, ale tylko potrzebę błogosławieństw pokoju i gruntu prawdziwej Religii. Dla naprowadzenia naszych czytelników nowej francuzkiej literatury, na prawdziwy punkt zapatrywania na fenomen jéj obecnego stanu, — pisałem ten artykuł d. 18 Czerwca 1836 r.

Michał Grabowski.

POCZĄTEK POWIEŚCI

P O D R Ó Ż N Y.

PODRÓŻNY.

PODRÓŻNY.

Było to w grudniu, trzeciej niedzieli adwentu,
W roku trzydziestym trzecim: ba nawet przy świętu
Lucyny męczeniczki. Zima była tęga,
Po skwarném lecie: jakiej pamięcią nie sięga
Żaden dziadek żebrzący. Nim torby i łaty
Przedźwignął przez ulicę do sąsiedniéj chaty,
Piérwej usta zamarzłe do pieca przytulał,
Nim zaczynał pacierze. Bliźnich nie rozczulał
Swojém cierpieniem: — nikt go małą garstką mąki
Nie mógł wtedy opatrzyć: bo spiekota łąki
I niwy popaliła. W nędzy i potrzebie
Każdy żył, kromia panów, o owsianym chlebie.

Onej to zimy, rzadki chłop co miał kożucha,
Musiał go na chléb sprzedać. Mróz i zawierucha
Paliły jakby ogniem: — szaha nie przepijał,
By się ogrzeć: zdaleka karczemki omijał,
Co tak stoją przy drodze jakby na kuszenie,
Gdzie żyd jak pająk czyha na jego kieszenie.
Idzie do miasta, głodną piersią chłód połyka,
Niesie ostatnią kurę, aby hreczanika
Kupić dla drobnych dziatek. Pan to widzi, czuje,
Sieczką mełtą i brahą zgłodniałych częstuje (*).

W tym czasie, nocą, jakiś daleki wędrowiec,
Drogą idącą z Baru, jak do Komarowiec (**),
Szybkim ruchem przebiegał, ale nie piechotą,
(Tak to nieraz bakałarz nie zważa czy błoto,
Kiedy swój wielki rozum chce mieniać na grosze);
Tylko cztéry w krakowskiéj uprzęży karosze,
W lekkim, niewymuszonym, ale rączym biegu,
Ciągnęły żółte sanie po skrzypiącym śniegu.

(*) Nasi filantropi do zupy rumfordzkiéj wynaleźli chléb z sieczki mełtéj i brahy; lecz nie wiém, czy ten chléb wejdzie w takie użycie jak owa zupa?.....
(**) Bar miasteczko na Podolu, pamiętne w historyi.

Nieraz woźnica „*wi! ho!*“ silną piersią ciśnie,
Długim, wysmukłym biczem ponad niemi świśnie.
Zręcznie mijał zatoki. Widać niepowszedni
Pan to jechał: bo siedział w kanadzkiej niedźwiedni,
Niby na piecu: kołnierz zakrywał twarz całą,
Pod kołnierzem na szyi coś tam błękitniało,
Niby obłok przez liście: to szal kaszmirowy,
Piersi jaśnie wielmożne objął do połowy.
A zpod szalu, głęboko, jak sowa ze skały,
Oczy, nos i ciekawe wąsy wyziérały.
Obok lokaj, w wilczurze, pański cybuch trzymał;
Siwą krymkę na uszy nasunąwszy—drzymał.

Ot i hotel szpyrecki, taki na Zabarze,
A trzeci i dziesiąty popod las, to w jarze,
Rozrzucone jak twierdze gdzieś od chińskich granic,
Przez które Dzengiskana przedarł się Sułtanic.

Podróżni poza siebie nie zwracają oka,
I nie widzą jak żydek przylgnął do tłómoka,
Niby stal do magnesu, albo dzmil do miodu:
I zaczął sznury nożem piłować od spodu.
Szczęściem trafił na kółko, żelazo zgrzytnęło
Tak silnie, aż się przeląkł,—i nie kończył dzieło.

Już konie, jakby me mgle, toną w własnej parze,
Mijają boczne laski: — z góry na Zabarze
Wolną stępą zjechali, a na grobli śmiałem
Aż na górę, jak wicher, wylecieli czwałem.
Wstrzymane konie — lokaj wyskoczył — za wódką
Naprzód biegł dla furmana, a potém prędziutko
Zapalił Panu fajkę, usiadł, znów ruszyli:
We trzy minut od karczmy całą honą byli (*),
Gdzie jak stepem chersońskim szeroki gościniec
Wiódł polem Komarowiec aż do Wołkowiniec.

Na zachodzie niebiosa gwiazdami uwite,
Milionem iskierek na śniegu odbite;
Tym drobniutkim pyłeczkiem świateł, ciemność cała
Niby lampą grobową blado rozeduiała.
A księżyc nie pomagał: — na jego równinie
Jedna chmura za drugą niby powódź płynie.
A on tęskni do ziemi, z wiszącym obłokiem,
I z wiszącą ciemnością walczy piersią, okiem;
Napróżno: — nie mógł ziemskie ucałować lice,
Choćby jednym promykiem; — i jego siostrzyce
Tonęły w siwych chmurach; a śnieżnicy brzemię
Jakąś trupią żółtością nakrywało ziemię.

(*) *Hona*, wyraz miejscowy, to samo co staja.

Podróżni szybko jadą i nic nie zważają:
Drogę do Radziejowiec i Ryszek mijają.
Gdzie to tak śpieszą? może na jakie wesele?
Albo na polowanie? gdzie już przyjaciele
Oddawna oczekują z djabełkiem i flaszą (*).
Ale nie; może jakie oczęta się gaszą
Od łez i bezsennicy, i jej dusza tkliwa
Żyje oczekiwaniem: — a on nie przybywa.
Nic ja nie wiém. Tymczasem gdzie północna strona,
Nowa chmura zpod ziemi napół wychylona,
Zaczęła niezliczone rozwijać szeregi.
Zmącone na obłokach zawieszone śniegi,
W drobnych gwiazdkach ku ziemi jako mgła padały:
Zaledwie swych znajomych zdala powitały,
Nie dał im w jednę całość braterskiéj jedności
Zlać się, spoić, wiatr silny przebiegłéj chytrości,
Czekał je na poziomie: porwał w swe objęcia,
Jak zgłodniała wilczyca obcego dziecięcia:
I niósł gwiżdżąc tryumfem, jak stepem Zabary,
Oceanem pól białych między lasy, jary.

(*) *Djabełek*, gra kartowa, przy końcu roku 1831 z Galicyi przywieziona. Stała się przyjemną rozrywką dla ludzi (jak to mówią) *wyższego tonu.*

Znać go komarowiecki trochę las zatrzymał.
Czém raz wyżej i wyżej białą pierś wydymał.
Kręcił się wiru słupem, jak się kręcą mnodze
Pyły od kół czumackich po odeskiej drodze.
Sam w sobie, jak samolub: — czołem się zawadził
O chmury, a na ziemi wszelki ślad zagładził.

Od godziny podróżni błądzili bez drogi.
I lokaj już wyciągnął zpod fartucha nogi,
I ślipał poprzed końmi, jak śrzód listopadu
Legawiec za truflami: — biedak szukał śladu
Darmo; — prędzejby dojrzał ścieszki ptasze, rybie,
Niż tu na jednostajnéj zamąconej szybie,
Najmniejszego zarysu. Wszystko zasypane,
Tylko miedzą gdzieniegdzie wichrem wygrzebane,
Sterczą nagie budiaki: — niegdyś młode głowy
Upiękniał tak bogato włos amarantowy;
Liścia zbrojne kolcami, strzępate, zielone;
Przy ramionach gałązki błoną obwiedzione,
Gdzie się deszcze i rosa jak w kielich zlewała,
Na pokarm w czasie suszy dla głodnego ciała.

O! na tym tu odwiecznie toczącym się globie,
Na tym odwiecznym bytu jestestwa i grobie,

Snuje się życie z życia. Narody, ich sława,
Jak i robak, pod jedne zachwycone prawa.
Czas zbojecki jak dżuma, zaraźliwém tchnieniem,
Rodzi starość, i trawi powolném niszczeniem.

Wieki, ten łańcuch zdarzeń, ta niema świątnica
Przestrogi i nauki: — gdzie przeszłość, dziewica
Nie wcielona, duchowa, z zamętów ciemności
Doświadczeń świeci gwiazdą dla młodéj przyszłości.
Pojęcia, wynalazki, jak roślinne życia,
W młodéj krasie jéj biegiem przychodzą z ukrycia.
I kwitną w téj przestrzeni maleńką godziną,
Nim na ich grobach nowe jawiska wypłyną.

Od strony Hałuziniec rzeczka i dolina,
Co się od Mąciewicza kryniczysk poczyna,
Wzdłuż niéj teraz błądzili. Czegoż to stanęli?
„Hop hop! hop hop!“ wszyscy trzéj jak jeden wrzasnęli,
„Hop hop! hop hop! ratujcie!“ — cóż się z niemi dzieje?
W imie Ojca i Syna! szatan, czy złodzieje?
Ale ja nic nie widzę: — tylko tam za górą,
Srzód tumanu zawiei, zda się, że pod chmurą
Coś czernieje zdaleka, i jak próchno w borze,
Albo kot zza kadłuba siedzący w komorze,

Takowem iskrzy okiem. I Pan się zatrwożył:
Pochwycił pistonówkę, do twarzy przyłożył,
Wymierzył, trącił cyngiel: — grot z trzaskiem wyleci,
Wnet za nim cisnął drugi; — możeby i trzeci
I dziesiąty wypuścił, gdyby mu starczyło,
Gdyby przy jednem łożu tyle rurek było.

Ledwie znaku, że żyje przelękniona dziatwa.
Lokaj wrył się do śniegu niby kuropatwa,
A furman jak wąż kłębkiem wcisnął się pod płozy,
I jak świerszcz ze szczeliny, albo lis zza łozy,
Śledził pańskie ruszenia. Konie przed sankami
Stały spokojnie, tylko nosiły bokami,
Tylko nozdrzą rozwartą zimny wiatr chwytały,
I żarły śnieg łakomie: one się nie bały,
Bo tam w lewo na ciemnéj i mglistéj przezroczy,
Kilka gwiazdek błysnęło niby wilcze oczy.

Ileż to pozór, albo słabe podobieństwo,
A częściej uprzedzenie, — miłość, jak i męztwo,
Niszczy, paraliżuje. Choć bogata niwa,
Śmiejące się bez cierni korzyści wykrywa:
Łonem igra klejnotów siły i dojrzenia.
A żniwiarz, jakby ślepy, pełen uprzedzenia,

Czeka wsparty na sierpie, nim lepiej dojrzeje:
Aż wiatr ziarka skupione, Bóg wié gdzie rozwieje.
I serca tak zawodzą. Choć słowicze tony,
Piérwszej nóty młodości, budzą świat uśpiony,
Swiat wrażeń i odbicia: — a gdy w tém odbiciu
Ujrzy lica zdradzieckie: — biada temu życiu,
Już mu szczęście tęsknica zasiała piołunem,
A pokój jego duszy, rozdarły piorunem.

Nasz podróżny ni żołnierz, ani też kochanek,
Tylko był Pan Marszałek. Porywa się z sanek,
Bo niecierpliwy, jak to często w wyższym rodzie,
Panu, albo wodzowi, gdy co na przeszkodzie,
Gniewni bardzo: bo jeden ufny w karbowańce,
A drugi w swoję godność. Okoliczne krańce
Zmierzył Marszałek okiem: — nie można w tumanie
Zagłębić oka: zda się, że na oceanie
Tylko woda a niebo. Zdjął czapkę, i ucha
Przeciw wiatróm nadstawił, z natężeniem słucha,
Może pies gdzie zaszczeka: — i słuch nie pomaga,
Stał się mu niepotrzebny: — tylko gwizd się wzmaga
Goniących w polu wiatrów, daleki, stłumiony,
Niby zbojeckiéj czaty. Stoi odurzony,

Sam nie wie co ma począć. Tak żeglarz, gdy nagle
Burza go wstecz uniesie i potarga żagle,
A piorun maszt ułamie: — na pokład wybiega,
Topi oko w teleskop: ale niedostrzega,
Ziemia przed nim uciekła. Wszędzie roztoczone
Mgły i chmury; i szumią bałwany spienione.
Każe uderzyć z działa: — echo się rozpierzchło,
Bez odpowiedzi we mgle i falach zamierzchło.

Marszałek już wyruszył: jeszcze byłby myślał,
I plany jak inżynier przed bitwą wykryślał.
Lecz konie niespokojne, od zimna już drżały:
A w lewo jak przez gazę obłoki szarzały.
Za tym więc przewodnikiem pośpiesznie skierował.
Ale wicher przed niémi obłędem tańcował.
Gniewliwy, mroźne pyły na skrzydła porywa,
I jak parą kipiącą oczy im zalewa.
Kręci się poprzed końmi, to się znowu słoni,
Kurzawą jak jaskółka po ziemi się goni.
To znów szumi nad głową, ramiona rozciąga,
Oddechem kupi śniegi i do piersi wciąga;
Rośnie ciało, kręci się, zniża się ku ziemi,
Na pół drogi zawyło i pękło nad niémi.

Marszałek nic nie zważa: on już nie miał wzroku,
Wzrok się zagłębił w myślach, a w myśli natłoku
Nie było słuchu, słuch był tylko roztargnieniem,
A serce silném czuciem, a czucie pragnieniem,
A pragnienie — herbatą. Bo już dawno pora
Zwyczajna przeminęła, w któréj co wieczora,
Przy stoliku, z rodziną, w malowanym domu,
Dodawszy trochę mléka i łyżeczkę romu,
Parę szklanic wychylał: — jeszcze odkąd żywy
Marszałek tak nie pragnął. O jak ten szczęśliwy,
Kto nawykł do wszystkiego! — Po drodze żywota
Siane ciernie i kwiaty. Nieraz wory złota
Znajduje urodzenie: — wygoda śmiejąca,
Otworem raj ziemiański; ale spadająca,
Jak śrzód nocy meteor, burza niespodziana,
Gdy pochwyci namiętnie, i dusza porwana,
Bez wahania ulegnie: — a w burzy z okrętu
Utracił gwoźdź ostatni; i tylko z zamętu
Unosi czyste serce, i stanął się ptakiem.
Szczęśliwy, kto zostawszy, umie bydź żebrakiem.

Popędził wicher w lasy; lecz śnieg jeszcze pada,
Kupi się koło bryłek, po zielsku osiada,

I gałązki łabędzim osypuje puchem.
I śnieg już przestał padać: — lekkim wiatr podmuchem
Po szybach zamrożonych syczał jak gadzina.
I wiatr ustał: — i marzyć weselej zaczyna
Pan Marszałek. Był teraz na drugiéj dolinie,
Blizko krzyża Łęckiego; — ale tuman płynie:
Niedojrzeć krzyża; — drogę na górze zostawił;
Inne pola i świat mu inny się pojawił.

Zdaje się, że widnokręg dnieje już zdaleka,
Niby las się krawędziem szarawo przewleka.
Piętrzą się góry; — znowu płasczyzny odkryte,
Mglą dymy obozowe; tam wały rozryte:
Owdzie wieża błyszcząca z między gór wyrasta;
A tu znów widać w dali niby kąt od miasta
Z jakąś twierdzą i wałem. To znowu przestworze
Rozwlekłe, jednostajne, niby jakie morze,
Tchnieniem lekkiem powiewne kołyszą się fale:
Wpół widne, ocienione wysepki niedbale,
Rozpierzchły się gdzieniegdzie, tam znowu skupione
Utonęły w przezroczu. Niebo zbłękitnione;
I gwiazdy zaświeciły: — nie ma oceanu;
To było ułudzenie, igraszka tumanu.

Znów Marszałek w kłopocie. Furman przelękniony,
A bardziéj tém jawiskiem jak snem odurzony,
Wciąż rozumiał, że djabeł z tumanu wyziéra,
Woła, kiwa na niego, lejce z rąk wydziéra,
Chwyta za kark: — z przestrachu wtenczas się ocucił,
Gdy wjechał na mogiłę i Pana wywrócił.
Kije straszniejsze: — już się nieborak spodziewał,
Że go cybuch przywita: często bowiem miewał
Podobne napomnienia; nic na sucho, płazem,
Pan Marszałek nie puszczał: a jednak tym razem,
Choć z mogiły aż na dół koziołka potoczył,
Gniewał się, ale milczał: bo śrzód pola zoczył
Czarną plamę: — to lasek; — a w plamie coś drżało,
Niby łuna: — to z chatki światełko migało.
A obok siną smuga: — tam dół i wieś mgliły,
Jakby wykąsy na téj smudze: — to mogiły.

Jakże ich tutaj wiele!... teraz ubielone,
Niby starce; a w lecie czoła ich zielone,
Jak sztandar powiewają nad niwą złocistą.
Pług je omija: — słońce wstęgą promienistą
Najpiérwej na nich budzi motyle drzémiące,
Między niebem a ziemią skowronki wiszące

Najpierwej je witają, w zakochanym śpiewie.
I mędrzec na nie patrzy, ale dotąd nie wie,
Na co, kiedy, przez kogo były usypane?
Tak chłopek w salach pańskich, widząc malowane
Sławne cnoty, lub zbrodnie, patrzy bez wrażenia:
Bo pojął tylko farby, nie czując znaczenia.

Czas tak szybko przemija, a w jego głębinie,
Niegdyś ludnéj, bogatej, tylko czczość, pustynie,
Co dzień dziksze, ciemniejsze. Ile tu nachodów,
Pół nagich i pół dzikich, nieznanych narodów,
Po téj milczącéj ziemi, niby od chmur cienie,
Orężem się spędzało. Ileż zapomnienie
Pod naszą stopą, w pyle, miast potężnych skryło!
Dzień tamten został nocą: — wszystko się zmieniło;
Czas pamięć nie oszczędził! — jak pierś zimna gadu,
Prześliznął tyle wieków, a nie zgubił śladu.

Nie wszystko gaśnie. Ogrom człowieczeństwa cały,
Niby powój pod pleśnią usypia zczerniały;
Lecz ma dni, swoje nocy, i swoje świtanie.
Powój skonał pod mrozem: — jego zmartwychwstanie
Przywoła wiosny słońce: znów górniéj wypłynie,
Chmura zagrzmi, i powój ramiona rozwinie

Zieleńsze, rozleglejsze. Dla świata wstrząśnienia
Nadają kształty mnogie. Zgasłego plemienia
Wielkie czyny, nieszczęścia, nieraz nam wywoła
Z grobowej niepamięci hymnem Archanioła
Pieśń wieszcza nieśmiertelna. Nawet gminne czucie
Ma talizman ukryty: — w jego prostéj nócie,
Mimowolnie jęczącej, pamięć się przebija
Zagubionej przeszłości.....

OPOWIADANIE STARCA.

(Z TEJŻE POWIEŚCI.)

„O dobrodzieju! było to dawnego czasu,
Na całej Ukrainie strachu i hałasu
Co niemiara. Już sobie bez dwóch sto lat liczę (*),
Stoję nad grobem, krokiem z wiecznością graniczę.
Ale umrzeć nie chciałbym. Moje prawnuczęta,
Mówią, żem bardzo stary, Dziad tyle pamięta,
Takie dziwy im prawi: ale gdy pamięcią,
Rzucę po moich latach, pod starą pieczęcią.

(*) Podług jego mowy musiał się urodzić w 1735 roku, przed Sejmem koronacyjnym Augusta trzeciego, kiedy Król francuzki Ludwik XV, wydał wojnę Karolowi VI Cesarzowi niemieckiemu łącznie z Hiszpaniją i Sardyniją, za wdanie się onegoż w elekcyą Polską. Widywałem te-

Ciekawe drzemią czasy: trzymać je w ukryciu
Jest to jedno co w grobie zapomnieć o życiu.

„Nieraz mnie chętka brała prawić co się działo,
Jak było, co czynili, a jak się to stało:
Alem wszystkich unudzał: ich to nie bawiło.
Nieszczęścia przeminione, jakby ich nie było.

„Jednę tylko powiastkę, którą tyle razy
Powtarzałem, powtórzę. Straszliwe obrazy
Własnego doświadczenia, nigdy nie uśpione;
I chociażby jednemu codzień powtórzone,
Jeszcze mają coś w sobie nowego, niezgadnie
Starzec czy opowiedział wiernie i dokładnie.
Bo myśli w staréj głowie, jak siano rozwiane,
Zbite słotą, przegniłe, czarne, poplątane.

„Na ukrainie blisko miasta Żywotowa
Jest słoboda Stadnica: tam to z Tetijowa

---

go staruszka, i rozmawiałem z nim, ale nigdy nie mogłem wierzyć, aby aż tamtych czasów zasięgał, częstokroć starcy lubią sobie lata przyczyniać: ciągle jeszcze siadywał w synowskiéj pasiece i żaden roj przed nim nieuciekł, a każdego roku odbywał pobożną peregrynaciją piechoto do Brailowa i Latyczowa.

Za króla jeszcze Sobka (*) miały swe wypasy
Kwarciane stada: tam to dawniejszemi czasy
Od Rośki po za Tykicz, jakby jakie cienie,
Jeszcze i ja widziałem kozackie kurzenie (**)
Ale na pół przegniłe. Mówił mój dziad stary,
Że aż tu nabiegały od Krymu Tatary,
I ludzi zarzynali, i wioski palili,
Krew niewinną niemowląt, jakby wodę pili.
A oni z tych kurzeni konno, lub w taborze,
Dzicz straszną odpierali aż za sine morze.
Za ich piersią w głąb kraju mogła wybrykiwać
Bracia szlachta, spać, tęgo pić, i sejmy zrywać.

(*) Tak na Podolu pospólstwo i czynszowa szlachta nazywa Jana III. Zdarzało mi się od nich nieraz słyszeć czterowiérsz niemal w przysłowie zamieniony krótko, ale dokładnie charakteryzujący ówczesny stan téj krainy:

„Za króla Sobka,
„Nie było w polu ni snopka:
„A za króla Sasa,
„Stanęło chleba do pasa."

(**) Były to chaty kopane w ziemi i ziemią nakryte, ogień się palił w wykopanych dołkach pośrzodku, bez pieca i komina. Cztery takich kurzeni stanowiło *sotnię*.

„Bo co prawda, to nie grzech; — burdy było wiele,
Nieraz się krwią braterską zlały karabele,
A wszystko po pijanemu. Raz to wiele krzyku
Pamiętam w Żytomierzu było na sejmiku (*),
„Na króla Stanisława. On swobody zdradził,
Nie wskrzesza *niepozwalam* (**), a order wprowadził(***),
Przez co równość podkopał i wolą ukrucił.
Zgroza! widoczne jarzmo na karki narzucił!
Dyssydentów nie karci, Jezuitóm szkodzi,
A kto chce i jako chce, tak go za nos wodzi.

(*) Po odpadnieniu zadnieprskiej Ukrainy traktatem Grzymułtowskim r. 1686 i Kijowa, w Żytomierzu odbywały się Województwa kijowskiego sejmiki. Popis Rycerstwa pod tém miastem w poniedziałek po Zielonych-Świętach r. 1633. jeszcze oznaczony. (*Święcki*).

(**) R. 1764 w maju na sejmie konwokacyjnym zniesione było *liberum veto*. Król Stanisław August IV, obrany d. 7 września tegoż roku. Więc to musi to się dziać w r. 1765 przed sejmem 1766 r. gdyż na tym sejmie znowu *veto* z niektóremi odmianami przywrócone było.

(***) D. 8 maja 1765 r. ustanowienie orderu S. Stanisława. Kreacyja pierwsza ze 35 kawalerów złożona. (J. S. Bandtkie.)

Hola królu! precz z królem! wciąż szlachta wrzeszczała.
Rzekłbyś, że to Sodoma w ich głowach gorzała.

„A to przy jezuickim działo się kościele,
Mój ojciec stał pośrzodku, a ci wichrzyciele
Niespokojni, burzliwi, sobą jakby wałem
Otoczyli dokoła. Ja zdaleka stałem,
Piérwszy raz na sejmiku. On ich o coś prosił,
Na szabli swoję czapkę do góry podnosił,
Przemawiał silnie, widać że coś im naganiał,
Bo często niby groził. To się znowu kłaniał,
A głos jego jęczący wydawał się prawie,
Jakoby na pogrzebie. Tłum słuchał ciekawie,
I gwarzył z cicha, ale mowy nie przerywał,
Znać, że jednych rozjątrzał, drugich przekonywał.
Umilkł; — i długo jeszcze nieprzerwana cisza,
Wtem śrzód tłumu głos straszny rozległ się Kordysza,
„Ni to w pięć, ni to w dziewięć, kat wié co nam baje!
„My chcemy *niepozwalam.*" — I nagle powstaje
Wrzawa i zamieszanie. Szlachta odskoczyła
Na dwie strony, i w mgnieniu szablice dobyła...
Krew pociekła, i długo w tym szale zamętu
Nawet względu niemiano i dla Sakramętu
Co go księża wynieśli. Żaden się nie strachał
Ni Boga ani ludzi, tylko gęsto machał

Wyostrzoną szablicą, bitwa była żwawa,
Lecz jakby jednym razem i szczęki i wrzawa
Nagle czegoś przerwane, a tylko brzmią słowa,
—„Hen hen! hen hen! widzicie?.. Popowicz z Fastowa
„W rogatywce przy szabli."— Szlachta zadziwiona, (*)
Tą zbrodnią niesłychaną strasznie obrażona,
„Gdzie on, gdzie on krzyczeli, rozsiekać! rozsiekać!"
Ale już ten nieborak jął pierwéj uciekać.
Poznał go Jan ze Snihur (**). On skoczył na prawo,
Pomiędzy domy, szlachta tuż za nim obławo,

(*) Około r. 1589 biskup Wereszczyński miasteczko Fastów założył, dotąd w posiadaniu kościoła kapituły żytomirskiéj zostające, jako dobra stołu biskupiego. (*Z rękopismu: Krótki rys Historyi Kos. Kato. w Rossyi.*)

(**) Teraz się zowie Snihorówka, blizko Fastowa, należąca do tegoż biskupstwa, rozrzucona po górach, między sadami, nad obszernym stawem, laski ją, jak wiankiem, na około otoczyły. Są w zaroślach jednego z tych lasków między jarami na górze w kwadrat usypane wały, znak że kiedyś było to miejsce obronne, ale nikt nie pamięta, jakich sięga czasów. Na polach mnóztwo nieprzeliczone mogił, jedna z nich zowie się *Storożowaja*, tak wysoka, jak *Perypiatycha*. Wioskę, mówią, że trzech braci Snihurów założyło.

„Łapajcie samozwańca! biegli a krzyczeli,
Drogę nieborakowi od rynku odcieli.
On się rzucił na lewo tędy, jak na Padół, (*)
Ale niemógł do jaru dostać się aż na dół,
Bo i tam szaraczkowa (**) szlachta koczowała,
Jak zpod ziemi z drągami licznie wybiegała.
Już mu ciasno, już zginie, zewsząd otoczony,
Lecz poczyna, jak szlachcic: stanął do obrony...
Prost w oczy silnym młyńcem warknęła szablica,
A za pierwszém natarciem obalił Czaplica,
I tą luką do góry znów świsnął drapaka,
A szlachta tuż tuż za nim cisną nieboraka
Jak wilka obławnicy. Niejeden nos ubił,
Temu się pas osunął, a ten czapkę zgubił,
„Ale gonią na oko. Popowicz w swym pędzie
Skierował jak na zamek, tam już makiem siędzie.
Nieborak pewno niewie, że go palisady
I skały zatrzymają — zginie — niema rady.

(*) Część miasta za katedralnym kościołem.

(**) Pospolicie nazywano bracią Szaraczkową tych, co niemieli własności ziemskiej, tylko klejnot szlachectwa. Ci nieboracy zawsze stawali się ślepém narzędziem możniejszych.

I szlachcice do Zamku hurmem się wpierają:
Tutaj był, ot są ślady; — i długo szukają.
Ale czegoś, bez krzyku, widać nie znajdują
A może już w téj chwili biédaka mordują.
Wtém Smulski cały Zamek napełnia hałasem:
Wytropił za Kamionką (*) „hen hen! aż pod lasem."
Szlachta na dół, ale go żaden ani liznął,
Był zadałeko: — „no chwat, gracko się wyśliznął.
„Wróćcie się, bierz go djabli!" — Ci co pozostali,
Za tamtymi, co biegli, śmiejąc się wołali.

„To młodzież tak szalała. Swawolna, wesoła,
Murawę i kamienie obsiadła dokoła,
Niby to po wygranéj. I jam wypoczywał,
A wracając do domu (którego najmywał
Na starej jurydyce mój ojciec) marzyłem,
„Że ja to Popowicza najlepiéj goniłem.
I układałem w głowie, bym się niepomylił,
Gdy będę opowiadał. Ledwiem drzwi odchylił,
Aż widzę mego ojca, siedział niby zdrowy,
Ale krew i przez chustę sączyła się z głowy.

(*) Kamionka rzeczka bieżąca po pod Zamek, łączy się, za miastem, z Teterowem.

„Jedźmy synu, rzecze mi, co prędzej do domu,"
W moment konie zaprzągłem. Zaledwie do promu
I przez Teterów, jakoś przewieźć się udało,
(Był nacisk niesłychany.) Już się i ściemniało,
I deszczyk począł rosić. Ojciec nie sumował, (*)
Ciągle z przechodzącémi rozmawiał, żartował,
Zdawał się być wesoły: ale to wesele
Było zmyślone, bladość rozlana na ciele
I na rumianéj twarzy, nadto dowodziła,
Że bardzo osłabiony, i godzina biła
Mojego umartwienia. Na przodzie, w ustroniu,
Jakiś opięty burką młody, i na koniu,
Coś rozmawiał z drugimi, ku nim podjeżdżamy,
I już o kilka kroków za sobą mijamy,
„Kiedy, stójcie! zawoła ten jegomość młody,
„Gdzie to tak śpieszno?.. nocą niebędzie pogody,
„A wy daléj jedziecie; czemu nie czekacie,
„Jaki sejmiku będzie koniec; o mój bracie!"
Przerwie mu ojciec „Koniec?— dawno go dojrzałem,
„A że o nim mówiłem gościńca dostałem,
„Daj go Boże wydychać"— na te jego słowa
Zbliżył się nieznajomy. „Ojcze twoja mowa

(*) Wyraz miejscowy to samo znaczy, co nie smucił się.

„Prosta, a tak prawdziwa: dzisiaj przy kościele
„Zapewne was słyszałem. Moi przyjaciele
„Wstąpcie do mego stryja, do jego gospody,
„A on człowiek gościnny.” — Był to ten Pan młody
Starosty Wareckiego pierworodnym synem,
Kazimierz Pułaski. My jego tym czynem
Zdziwieni; ale długo prosić się nie dali,
I za nimi do Zamku na noc pojechali. (*)

„Ojcu się pogorszyło. Ten to Pan kochany,
Codziennie nas odwiedzał, opatrywał rany,
Przyprowadził doktorów, rzadka chwila była
„Bez jakowej pomocy: ale nadchodziła
Naszego rozłączenia bolesna godzina:
Nieraz mi się i teraz we śnie przypomina,
Jak mnie żegnał, ostatniem słowem błogosławił,
I na większe nieszczęścia żywego zostawił.

„Bez matki i bez ojca, jak czółno bez wiosła,
Na obszernem jeziorze: choć fala go niosła,

(*) Niewiem, czy to była Staniszówka, czy inna jaka wioska, bo pod Żytomierzem obszerne mieli dobra Pułascy. Zamkiem nazywano każdy dom zamieszkany przez dziedzica włościan.

I fala niemówiła, w jaką niesie strone,
Usta moje milczące, czoło zasępione.
Smutek młody bolesny, bo to w młodéj głowie,
Tak, jak i w jego sercu. Gościnni Panowie
Długo mnie niepuszczali: byłem jak w niemocy,
Chcieli aby pozostać. Ale pewnéj nocy,
A noc była miesięczna, wyszedłem za wrota,
I pójrzałem po drodze: jakoś mnie tęsknota
I pragnienie przejęło. Niemówiąc nikomu,
Drugiej nocy już byłem pół drogi od domu.

„Bo coś niewymownego mają okolice,
Gdzie się człowiek urodził. Widoczną różnicę
„Znajduje jego oko, choćby na kraj świata
Zajechał, (jak to mówią) gdzie ziemia bogata.
Niebo bez chmur i śniegu, ludzie sprawiedliwi,
Gospodarni, weseli: wszystkim się zadziwi.
Wszystko dobre ukocha, a jednak zrzenice
Czegoś więcej żądają. Bo swe okolice
Coś pociągającego, coś takiego mają,
Więcej jak przywiązanie. Sąsiedzi pytają
O mego ojca: jedni i szczérze żałują,
A drudzy w mém sieroctwie zysku upatrują.
Ten gani moje konie, ten targuje woły,
Tamten prosi pożyczyć snopów ze stodoły;

Inny szepcze do ucha, by się uwieść niedać,
Tylko swe gospodarstwo cichaczem wyprzedać.
Zgarnąć bąki, (*) a potém kupić u pancernych (**)
Jakie namieśnikowstwo. Ale ludzi wiernych
„Kilku zostało; oni cnotliwszymi byli,
Inaczéj przyjaciela synowi radzili.

(*) Gdy Król pruski Fryderyk II zajął całą Saksoniją na początku września 1756 r., dzierżawca Mennicy lipskiéj bił fałszywą monetę, którą w Polsce bąkami zwano; w Niemczech zaś Efraimitami od żyda berlińskiego Efraima i kompanii (J. S. Bandtkie.)

(**) Na sejmie siedmiogodzinowym nazwanym *Niemy* r. 1717 zwinięto dawne wojsko koronne, a ustanowiono nowe daleko w szczuplejszéj liczbie po większéj części trybem cudzoziemskim. Jednak, niektóre pancerne brygady pozrzucawszy koszulki i szyszaki, zatrzymały swoje nazwiska. Husarzów i Petyhorców zupełnie zmieniono. A że biskup krakowski (Konstantyn Felicyan Szaniawski) najdzielniéj przyczynił się do zmniejszenia wojska narodowego, za to wywdzięczając się król (August II), nawzajem dozwolił umniejszenia praw i wolności Dyssydentóm. Za ustanowieniem Kommissyi Wojskowéj d. 12 Października 1788 r. kiedy nowsza reforma nastąpiła, bohatyrowie Pancerni zupełnie zapomnieni zostali.

Chcieli szczęścia, radzili abym się nielenił,
Tegoż samego roku jeszcze się ożenił.

„W Ukrainie nad Rosią jest tam Zbarażówka,
Trzy mile od Stadnicy. Mieszkała w niéj wdówka
Anna Przesmycka cicha, kobiéta stateczna,
Gospodarna, uczciwa; ale niebezpieczna
Bo miała ładną Kasię, raz no ją ujrzałem
W tetijowskim kościele, drugiej nie szukałem.

„O jak byłem szczęśliwy! Przy mojéj starości
Dziwactwem i śmiesznością prawić o miłości:
Mym ustóm jak zaklętym dzisiaj nie przystoją.
Ale wierzajcie, kiedy wspomnę Kasię moją,
Zapominam żem stary, serce się wyrywa,
To była jaskułeczka swawolna, tak żywa,
Tak do mnie przywiązana, tak szczérze kochała,
Więcej nawet niż mogła. Młoda, a umiała
Najstaranniéj utrzymać domowy porządek,
Koło krówek, owieczek; nawet koło grządek;
Jaka czujna opieka! Wiek bogaty młody,
Gdy czynny, pracowity. Szło wszystko jak z wody.
I Bóg nam błogosławił, dał nam upominek,
Naszéj przyszłej nadziei: urodził się synek,

Oto ten siwy starzec, co gdyrze na syna,
A mojego już wnuka. To dobra chłopczyna,
Takie stateczne dziecię: gryzie Bóg wie za co:
Martwi się jego losem; a on nie ladaco:
Rosło to, pod mém okiem, od samych pieluszek,
Dwa lata..........." — Tu umilkł staruszek,
A pierś jego zgrzybiała nagle się podjęła,
A łza po śniadém licu, tak niemo spłynęła,
Jak kropelka święconéj wody śród cmentarzy,
Gdy ksiądz błogosławieństwem ostatniém nas darzy.

Wszystkie usta milczące, oczy obrócone,
W jednę stronę, na starca, jakby utopione.
Czy we łzie tajemnicę pragną wyspowiadać?
Lecz tajemnicę trudno domysłami badać,
Ona się w głębi duszy przelękniona kryje,
Jak ptaszek przed szponami, czasem się odbije
Promienną łzą na oku; czasem poplątaném
Dwuznaczném jąknie słowem, ale niezbadaném.

Pan Marszałek podniosł się z ławy, zamyślony,
Przystąpił do przypiecka, jak syn rozrzewniony
Zaczął całować starca. Kwitła w jego twarzy,
Nie litość, ale radość. Nie często się zdarzy.
Widzieć nędzę w objęciu dumy i znaczenia,
O! jedna tylko gwiazda czasem upromienia

Czoła tak różne! czasem i dumę uniża,
I serca nieprzyjaciół do siebie przybliża,
Uścisną dłonie. Ale życia ostudzone,
Spleśniałe, pajęczyną osnute, zmrożone,
Niemają tego oka, niemają pragnienia,
Nie pojmą tajemnicy żadnego natchnienia;
W przyszłości nie utoną, jak w słowiczém pieniu,
I myśl się ich niezdybie w takiém uściśnieniu.

Znowu cicho, jak w pustce, tylko tam gdzieś w sieni
Słychać swist samowaru, jasny zwój płomieni,
Wyraźniej z pieca bucha, czasem węgiel pryśnie,
I robaczek zajęczy, i kaganiec błyśnie,
Postawiony na oknie i ćma zaczajona
Zza obrazu wyleci. Taka uświęcona
Tylko w kościele cisza, taką umiał nadać
Jeden starzec, gdy zaczął znowu opowiadać.

„Zaledwie rok upłynął; kiedy niespokojny
Zaczął się wszędzie naród zabierać do wojny,
Ale domowej. — Gdzieś tam w Litwie krew się leje, (*)

(*) Konfederacya wileńska powszechna d. 2 Czerwca 1767 połączona z 24 pomniejszych konfederacyj w Litwie. Marszałek Stanisław Brzostowski. (J. S. Bandtkie.)

W Toruniu jakieś kłótnie (*), Warszawa truchleje (**),
A w Barze robią związek (***). Wciąż wieści biegają,
Wszyscy im ciekawego ucha nadstawiają.
Choć wtedy, Bogu dzięki, koło Żywotowa
Dosyć było spokojnie; lecz większa połowa
Mych młodych rowienników, gdzieś się tam powiała
Na cztery wiatry. Moja także dusza drżała.
Chciałem śpieszyć za nimi, ale wy niewiécie,
Czém to jest dla młodego ojca piérwsze dziecie!"

Józef Kotoni.

(*) Konfederacya Dyssydentów r. 1767. Marszałek Jerzy Wilhelm Golz Starosta Tucholski. (J. S. Bandtkie.)

(**) D. 13 mar. 1767 r.

(***) Franciszek Potocki Wojewoda kijowski, Michał Krasiński Podkomorzy rożański, Józef Pułaski Starosta warecki, Adam Krasiński biskup kamieniecki, d. 1 marca 1768 r.

W Forumm jakieś Tłoście (*). [illegible] (**),
A w barze robią związek [illegible] więcej [illegible],
Wszyscy im ciekawego ucha nadstawiają.
Chcąc wtedy, [illegible] koło ?
Dosyć było spokojnie; lecz większa połowa
Mych młodych rówieśników, gdzie [illegible]
Na cztery wiatry. Moja także dusza działa:
Chciałem spieszyć za nimi, ale wy niewiecie,
Gdzie to jest, dla młodego ojca pierwsze dziedzictwo?

Józef Korean.

(*) Konfederacya [illegible] Jerzy Wilhelm Golz Starosta Tucholski. (J. S. Bandtkie.)

(**) D. 15 mar. 1767 r.

(***) Franciszek Potocki Wojewoda Kijowski, Michał Krasiński Podkomorzy różański, Józef Pułaski Starosta warecki, Adam Krasiński biskup kamieniecki [illegible] 1768 r.

AKT PIĄTY.

DRAMAT W JEDNYM AKCIE.

Przez J. K.

OSOBY.

Wacław.
Eliza, żona jego.
Hrabia Henryk.
Doktor.
Walenty *służący* doktora.
Jan *służący* Wacława.

SCENA I.

(Teatr wyobraża altanę gustowną i bogatą, któréj drzwi otwarte wychodzą na ogród illuminowany: słychać w oddaleniu muzykę balową i widać czasem przechodzące osoby.)

Hrabia *(przechodzi się niespokojny, poglądając często ku drzwiom.)*

Nieprzychodzą! — Co za nieznośne oczekiwanie! — Już mi ten przymus ciężyć zaczyna. Wie ona dobrze, że ją kocham, ale teraz czuję odwagę powiedzieć jéj, że musi być moją. Tyle miałem do tego sposobności: zawsze błagającém wejrzeniem rozbrajała śmiałość, zamykała usta. Jéj mąż za-

jęty grą, ale widzę, że ma nas na oku, dotąd milczy: zdaje mi się przecięż, że ten ponury i głęboki filozof, ma wzrok bystry, zaostrzony siłą miłości. (*po chwili*) Jeszcze niema. Niedotrzymałażby mi Emilka słowa? obiecała ją skłonić do przejścia się po ogrodzie, tu wprowadzić i zamknąć— (*przysłuchuje się*). Nie to nie ona. Jakieś nieznośne figury przechodzą.— (*z niecierpliwością*) Wacław nareszcie postrzeże się, że mię tak długo niema, ha słyszę jej głos:— O! poczciwa Emilko! — żeby tylko tu weszła. Wie ona dobrze, że ten bal dla niej, że jest jego królową. Imaginacya jej podniesiona, tém chętniej słuchać mię będzie. (*chowa się za boczne drzwiczki.*)

Eliza (*w stroju balowym wchodzi i poziera w około.*)

Co za czarujące schronienie! ale gdzież Emilka?— Emilko!.. (*staje przed lustrem i poprawia sobie włosy*) Emilko! niegodziwa, zostawia mię tu samę. Śliczna altana! (*siada na sofie*) on tu pewnie nie raz spoczywa, a może i o mnie marzy?

Hrabia (*zbliżając się klęka.)*

O kimże mógłbym marzyć?

Eliza (*zrywa się.)*

Ha! Emilko! — puść mię Hrabio! — O co za zdrada, mogłażem się jéj spodziéwać od twojéj kuzynki, która się mieni moją przyjaciółką? *(chce odejść.)*

Hrabia.

Elizo! piękna! droga Elizo, zatrzymaj się!

Eliza.

Puść mię Hrabio! tuż za tobą występek i hańba.

Hrabia.

Będę skromnym, bojaźliwym, pobożnym. Uklęknę zdaleka, ręce złożę, czcić cię będę jak bóztwo, ale posłuchaj mię!

Eliza.

Zapomniałeś, że mam męża, że mam dzieci, — moje niewinne anioły, — o nie, nie — nie mogę przyjąć czci twojéj, ona, jak dym ofiarny, okopca swoje bożyszcze, *(patrzy ku drzwiom.)* O mój Boże! tam tłumy gości

twoich przechodzą; cały ogród jaśnieje od świateł. Jakże ztąd wyjdę, — sama? — Podziękuj Hrabio swojej kuzynce, że ci tak dobrze usłużyła; ale razem powiedz jej, że nasza przyjaźń za tym progiem zginęła. Kto nie dba o honor swoich przyjaciół, ten jest zdrajcą. — A mój mąż! mój biedny mąż!

H r a b i a.

Twój mąż zajęty grą; — nie bój się Elizo, tu nikt nie wejdzie.

E l i z a.

Jakto! więc wszyscy ci goście są w zmowie z tobą? i moja hańba całemu światu wiadoma? Pięknie, tegom nie mogła się spodziéwać. Coś mi miał mówić Hrabio, nie wiém, ale posłuchaj, co ja ci powiém. Mówiłeś mi nieraz o miłości, zdawało mi się widzieć szczere jéj dowody i przyznaję się, że te słowa twoje wpadały do mego ucha, i choć grzészne, głębiéj może nawet przenikały. Dziękuję Bogu, żem się oszukiwała. Gdybyś mię kochał, starałbyś się otoczyć mię szacunkiem twoich przyjaciół: postę-

pujesz przeciwnie, i prawdziwie podziękować ci muszę, że obudzasz we mnie tę godność kobiecą, którą może uspiła cokolwiek dawniejsza twoja zręczność.

H r a b i a.

Mylisz się Elizo! przysięgam ci na wszystko, nikt prócz Emilii tajemnicy mojej nie przenika.

E l i z a.

I tyś się pomylił Hrabio, z tych kilku słów, którém tu przypadkiem wyrzekła, nic sobie nie wnoś. Potrafię stłumić iskrę, któréj światełko dostrzegłeś, a którą w zbytniém zaufaniu w sobie bierzesz za nieugaszony pożar.

H r a b i a.

Elizo! posłuchaj mię!

E l i z a.

I cóż mi powiész! jak skoro przestałeś być niebezpiecznym, mogę cię słuchać! Chociaż przyznam, że tu ani miejsce, ani pora. Jestem w sumnieniu spokojna i bezpieczna, przecięż jako dbająca kobiéta o swój honor,

jako żona czuła na spokojność męża, słuchać cię nie powinnam. Bo uważ, tam sto oczu ciekawych i złośliwych śledzi moje kroki, abym się stała gadką całego miasta, a tam mąż, którego pożera zazdrość, który w téj chwili z rospaczy może stawi na kartę ostatni fundusz. I niezaręczyłabym nawet, czy do téj gry, w któréj rujnuje siebie i dzieci, nie wciągnęli go twoi wspólnicy, aby tymczasem żona miała czas okryć go hańbą.— Przyznaj Hrabio! że pięknem trudnisz się rzemiosłem. Na toż używasz śrzodków rozumu, zgubnych powabów, darów losu, aby ten, którego mienisz się przyjacielem okrył synów swych łachmanami; aby ta, któréj się nazywasz kochankiem, przekazała córce swéj sromotę. I ty mię kochasz? ty siebie kochasz!—(*cichym głosem*) A ja, ja się tobą brzydzę!

HRABJA.

Elizo! niezwodź się, nie zmyślaj obojętności, któréj niemasz, ty mnie kochasz, ty walczysz z sobą wszystkiémi siłami cnoty i pokonać się nie zdołasz. I jabym na to po-

zwolił, abyś ty była nieszczęśliwą; aby we łzach i tęsknocie uwiądł kwiat twojej młodości?— Nie Elizo! ty musisz być moją!

ELIZA.

Milcz! Jeszcześ mię tak dalece nie poniżył, abym cię słuchać miała. Idź poszukaj swojej kuzynki, niech wróci, abym z jakimkolwiek pozorem uczciwości wyjść ztąd mogła. Spiesz! *(patrzy ku drzwiom)* ba! nie czas już, mój mąż tu idzie. Boże mój! cóż pocznę?— Oddal się którędy chcesz, odejdź byle cię nie widział, na BOGA, na sumnienie, zaklinam!

HRABIA *(nieporuszony)*.

Nie, inny mam zamiar;— zostanę.

ELIZA *(składa ręce)*.

Henryku!

HRABIA *(otwiera szybko drzwi boczne i wychodzi)*.

ELIZA *(sama)*.

Cóż mu powiem?— Dla czegoż tu jestem sama jedna?— jaki smutek na jego twarzy! jakaż siła spętała jego kroki i odpychać go zdaje się od tych drzwi fatalnych. Jego mil-

czenie przeraża mię. Któż wie jak blizka jest chwila wybuchnienia? jeżeli go widział, słyszał! Boże! Boże! Jakże to okropnie być winną. Ale mogłamże się spodziewać takiej zdrady od przyjaciółki. Wszystko się na mnie sprzysięgło i to serce, to biédne serce w zmowie z wrogami mojego pokoju i honoru (*siada*).

WACŁAW (*wchodzi zwolna i pogląda w około*).

Jesteś tu Elizo?

ELIZA.

Przechadzałam się z Emilką; usiadłam odetchnąć: tylko co ztąd wyszła.

WACŁAW.

Kto? Emilka?

ELIZA.

Głowa mię zabolała i dla tego niewracam do sali.

WACŁAW.

A mnie tu, coś zabolało i dla tego wyszedłem z sali.

ELIZA.

Smutny jesteś mój mężu?

W a c ł a w.

Czy masz dla mnie pociechę? przegrałem wszystko!

E l i z a.

O Boże!

W a c ł a w.

Ale i ty podobno stawisz wszystko na kartę?

Eliza (*proszącym głosem*).

Wacławie!

W a c ł a w

Pięć lat temu, wieczorem, skoro mogłem się uwolnić od obowiązku, dosiadałem konia. Pamiętasz Elizo! koń to był dzielny, droga niedaleka, a jednak zawsze pokaleczony wracał do domu. Bo jakiż koń na świecie mógł był wówczas biedz równie z chęciami mojémi. Kiedy w około mnie rozlegały się pieśni ptaków, zieleniły się łąki, kiedy zdaleka błyszczały stawy ogromne, jak milowe źwierciadła, kiedy natura w całéj ozdobie wiosny, ozłocona zachodzącém słońcem wzywała mojego oka, upajała wszystkie zmysły i z szumem lasów zdawała się ku

mnie szeptać słowa miłości, jam nie niewidział, nie słyszał, boś ty była piękniejszą niż ona, bom jechał do ciebie!

ELIZA.

Czy myślisz, że mi ten czas przestał być miłym?

WACŁAW.

Pamiętasz tę altanę na wzgórku: zdaleka u jej wchodu widziałem powiewającą twą chustkę, i wówczas ostroga tonęła w boku mojego konia, i w jednej chwili byłem u nóg twoich, szczęśliwy, spokojny i bezpieczny! I tak było codzień, a ta altanka była prosta, skromna, cienista; powój wił się po jej powiązanych chrustach, chmiel osłaniał jej wiejskie sklepienie i okrywał naszę miłość, niewinną jak twoje serce, czystą jak życie aniołów, pełną nadziei szczęścia, jak myśl ośmnastoletnia. Ta altana Elizo! pełna sztuki i ozdoby, tu marmur błyszczy na ścianach, tu złoto otacza zwierciadła, które powtarzają twoję piękność, tu wykwintna roskosz założyła siedlisko i sieć ponętną rozpięła.—I ty tu czekasz Elizo!—nie na mnie!...

ELIZA.

Wacławie! maszże mię za występną? — O! to myśl zabijająca!

WACŁAW.

Kiedym cię wziął z rąk matki i zaprowadził przed ołtarz, kiedym po raz pierwszy usłyszał płacz mego syna i ujrzał uśmiech szczęścia na twojej zbolałej twarzy, kiedym cię widział przez lat cztery łożącą wszystkie siły na to, aby dzieci miały rozrywkę, mąż pociechę, dom pokój i ciszę, myśli tej nie miałem. Wieszże, kiedy mi przyszła? — O! ty pewnie tę chwilę pamiętasz, i dla mnie ona pamiętna. Siedziałaś przy oknie, dzieci bawiły się u nóg twoich, ja z boku, zajęty pracą często odrywałem wzrok od papierów, aby spójrzeć na ciebie, jakbym przeczuwał, że to była ostatnia chwila, w której byłaś całkiem moją. Wtém zatętnił galop konia, spojrzałaś w okno i patrzałaś długo, jak gdybyś wiedziała, że jeździec wróci; jakoż tentent się powtórzył, i taki sam rumieniec, jak w tej chwili, okrył i wtenczas twarz two-

ję, i wówczas to urodziła się we mnie ta myśl, która dzisiaj dojrzała.

ELIZA.

O mój Boże jam niewinna!

WACŁAW.

Jakże Elizo, czy ztąd wyszła Emilka? nie poniżaj się do kłamstwa. — Ale także nie wyznawaj; *(cicho)* — widziałem! — *(Eliza pada na kolana)*. Dotąd starałem się czuwać nad tobą, jak twój anioł stróż, zdaleka, tajemnie: — ostrzegałem cię tylko niekiedy spojrzeniem, smutkiem. — Dziś, przywodzę ci na myśl dawniejsze lata, aby ich obraz przypomniał czém dla mnie jesteś; dziś, gdy już nie wiém z pewnością, jak dalece jestem nieszczęśliwym i pokrzywdzonym; ostrzegam cię Elizo! iż w tém sercu głębokiém, oprócz miłości dla ciebie, jest uczucie straszne, okropne! — przypominam ci, że tam dzieci nasze nie wiedzą o tém, że może ta chwila przygotowała im sieroctwo!

ELIZA *(zrywa się)*.

Do domu Wacławie, do domu!

(Hrabia i Doktor wchodzą.)

HRABIA.

Tak wcześnie, kiedy wieczerza przygotowana.

ELIZA *(trzymając się męża).*

Jestem chora, muszę wrócić.

HRABIA.

Wacławie, nie rób mi tej przykrości, to twój kaprys. — Dla tegoż, że ci się nie poszczęściło, masz pozbawiać towarzystwo najpiękniejszej jego ozdoby.

ELIZA.

Nie Hrabio, rzeczywiście jestem chorą, racz darować.

HRABIA *(do Wacława).*

Majora zapłaciłem, jak będziesz miał, to mi oddasz; zostań!

WACŁAW.

Elizo, słyszysz? — przegrałem sto dukatów: Hrabia je zapłacił, dziękuję ci.

ELIZA.

Słabo mi.

DOKTOR.

Siądź pani (*podaje jéj krzesło, Eliza siada*).

HRABIA (*głosem wyrzutu*).

Wacławie!

WACŁAW (*z niecierpliwością*).

Hrabio!

HRABIA (*miarkując się*).

Muszę się z tobą widzieć, mamy mówić o rzeczy bardzo ważnéj: za parę godzin czekam cię: — będziesz?

WACŁAW.

Wolałbym teraz..

HRABIA.

Odprowadź żonę: — chora.

WACŁAW.

Więc; — za parę godzin będę.

ELIZA.

Gdzie? — Wacławie!.. (*cicho*) Uciekajmy ztąd!.. (*wychodzą*).

HRABIA (*klaszcze — lokaj wchodzi*).

Kareta! (*chce iść za niemi, Doktor zatrzymuje go*).

Dla czego mię zatrzymujesz?

Doktor.

Zaczekaj Hrabio, nim będziesz mówił z Wacławem, chciałbym pomówić z tobą.

Hrabia.

Cóż mi powiesz?

Doktor.

Byłem ojca twego przyjacielem; — a ten biedak, co dopiéro ztąd wyszedł, jest moim wychowańcem, i kocham go jak syna.

Hrabia.

Na cóż mi to mówisz doktorze?

Doktor.

Każdy swojémi czynnościami pisze historyą swojego serca, i dziwi się, że ją drudzy czytać umieją. Młody naprzykład panicz, mający rozum i wielki majątek, znaczenie i powaby, zaprzyjaźnia się z ubogim człowiekiem, który ma piękną żonę; wyrabia mu zyskowne miejsce; otacza ją wszystkiémi przynętami życia, daje bale na jéj imieniny, ponieważ tak nazywała się jego matka, która już od dziesięciu lat w grobie; — i dziwi

się, gdy mu stary przyjaciel powie: kwiatami okrywasz ich hańbę; złotem osypujesz ruiny ich szczęścia!

H r a b i a.

Mów zwięźlej starcze! bo tam cała kompanija bez gospodarza.

D o k t o r.

Lepiej, aby zgraja próżniaków błąkała się bez gospodarza, niż żeby serce błąkało się bez hamulca i unosiło do kroków, których cofnąć nie można. Chcesz z nim mówić: — cóż mu powiesz?

H r a b i a.

Interes jest wielkiej wagi dla nas obudwu. — Pragnę go załatwić jak człowiek uczciwy!

D o k t o r.

Hrabio! z takiej sprawy ani szczęście jednej strony, ani sumienie drugiej, nie może wyjśdź cało i bez kalectwa.

H r a b i a (*z niecierpliwością*).

Od czegoż masz pierścień? będziesz kurował.

DOKTOR.

Wstydź się Henryku! w takiejże to chwili mógł ci przyjść na myśl żart tak niewczesny. Podobnaż, aby ty, syn najszlachetniejszego ojca, był prostym rozpustnikiem, igrającym ze szczęściem i pokojem bliźnich, dla tego, że masz milijony?—Posłuchaj co ci powiém, bo cię raz ostatni widzę:—wyciągasz rękę po cudze dobro, wciskasz się jak zły duch do raju dwojga ludzi, na słabość kobiety zastawiasz sidła, w które one tak łatwo wpadają. Ośmielony przykładami dziesięciu, którym się udało, możeszże bydź pewnym, że ty jedénasty nie przypłacisz ciężko chwili grzesznej uciechy? Znaszże dobrze tego człowieka?— on wszystkie swe nadzieje, wszystkie myśli, wszystkie uczucia zlał na nią. Z całą głębokością piérwszej i jedynej miłości kocha ją, i z całą głębokością téj duszy silnéj, energicznéj, niewycieńczonéj, mścić się będzie. Pamiętaj o tém: — uważam was oddawna, i widzę, że w sercu jego okropne myśli powstają!

HRABIA.

Tém pilniej potrzebuję z nim się rozmówić, a jakikolwiek będzie tej rozmowy skutek, dowiesz się. Jesteś stary, wszystkie uczucia w tobie skrzepły, wszystkie uniesienia zmarzły; nie możesz mię sądzić. Wreszcie, nie chcę rozumować, namiętność nie zna rozumowania, i czuję to, że wszelka loika będzie przeciwko mnie. Ale chceszże znać stan mojej duszy?— powiém ci: kocham ją nad wszystko, nad pokój, nad życie! — to właśnie i jemu chcę powiedzieć, niech pozna złe, niech obiera śrzodek jak ma zaradzić. Byłem występnym wtenczas, gdym zwrócił oczy na tę, która była dobrem innego, gdym nie unikał powabu, który mię zwolna, stopniami pociągał. Dziś występną jest natura, nie ja. —Można potępiać człowieka, który nieostrożnie zbliża się nad brzeg przepaści; ale gdy już stracił równowagę, onże winien, że się w powietrzu utrzymać nie może? że go ziemia ciągnie do siebie wszystkiemi siłami, których rozum wyrachować nie umie? Oto jest moje poło-

żenie! czy okropne, czy szczęśliwe, niewiem, czy na dnie téj przepaści znajdę miękkie łono wody, która się rozstąpi pode mną i ocali, czy twarde urwisko skały, które mię zdruzgocze: o tém myśleć nie powinienem, bo wybierać nie mogę. Sądź mię teraz jak ci się podoba. Jeżeli chcesz, przedsiębierz nawet śrzodki do odwrócenia nieszczęścia, które przewidujesz: ja się cofnąć niemogę, bo nie ja sambym ucierpiał, gdyż ona mię kocha. (*wychodzi.*)

Doktor (*sam, załamując ręce*).

O nieszczęśliwa!—Ale nie czas narzekać, trzeba ich ratować. Cóż zrobię?— Niedołężna sztuko! ledwie kilka lekarstw na niemoc ciała; ale chorej duszy przywrócić siły, przywołać uciekający rozum, zakląć tę burzę gwałtowną, która rozrywa serca. Ach! i cóżbym dał za to, gdybym taką sztukę na jednę chwilę posiadał!—(*namyśla się.*) Wywieźć ich, niech uciekają:— tak, tak, to może uratować ich pokój;—oddam co mam, niech jadą;—zechceż ona?— i na to śrzodek

w niezachwianej woli. A jeżeli już nie warto ratować? — o nie, nie, to bydź nie może: Wacławby tego dostrzegł, i Hrabia jużby nieżył. (*wychodzi.*)

SCENA II.

(*Mieszkanie doktora.*)

(Walenty *siedzi w krześle i drzémie*).

(Wacław *wchodzi szybko i uderza go po ramieniu*). Walenty!

Walenty.

Zaraz Panie; będziesz się Pan rozbiérał?

Wacław.

Przetrzyj oczy: — czy jest twój Pan?

Walenty.

Czy to Pan? — Panie Wacławie, nie widział tam Pan gdzie mego starego? — kto chce nie mieć dnia, ani nocy, niech służy u doktora.

Wacław.

Gdzie klucze od téj szafki?

WALENTY.

Od tej szafki? a Panu na co? — tam są niewiedzieć jakie przyprawy, a Pan się na tém nieznasz.

WACŁAW.

Czyś ty czuł kiedy ból tu? taki ból, co rozrywa piersi, co wszystkiémi ostrzami, jakiémi cierpienie może dojmować ciału, kole i kaleczy. Na ten ból jest tutaj lekarstwo, i ja wiém gdzie leży:— otwórz!

WALENTY.

Dalibógże, nie mam klucza:— a choćbym i miał, to nie dam; — od dwudziestu lat Pana znam: — a to takim jeszcze byłeś dzieciuchem, gdym cię odprowadzał do Pijarów, a nigdym jeszcze nie widział cię z podobném wejrzeniem. Wyglądasz mi tak, jak gdybyś się tu na wschodach ze śmiercią spotkał.

WACŁAW.

Otwórz stary; bo mię boli!

WALENTY.

Ej porzuć Waćpan tę chorobę, a idź spać! (*Wacław odrywa szafę.*)

WALENTY.

Co robisz Panie Wacławie? — a dalibóg oderwał zamek!

WACŁAW (*dobywa flaszę*).

Jest, i żadna moc wydrzéć mi jéj nie zdoła. O! teraz jestem bezpieczny, silny, potężny! — Potężny, jak ten jeniec, któremu się urągał wróg nieszlachetny, który nagle postrzeże, że ma ręce rozwiązane, że kajdany jego zamieniły się na oręż. — O! jak się czuję szczęśliwym, — mścić się mogę! (*wychodzi*).

WALENTY.

W imię Ojca, i Syna! — czy to mi się śniło! czy on doprawdy ztąd wyszedł, odbił szafę i niewiedzieć co gadał, ale szafa otwarta i ja nie śpię: — coś tu się niedobrego święci. — Żeby prędzej mój Pan przyszedł, we dwóch człowiekowi raźniej. Dla bezpieczeństwa jednak nie zawadzi drzwi zamknąć. Ten przyszedł z suchotami w sercu i odbił szafę z lekarstwami; drugi przyjdzie z suchotami w kieszeni i odbije szka-

tułę. — Licho mi nadało takich pacyentów. (*stukanie*) Kto tam?

D o k t o r.

Otwórz!

W a l e n t y.

Aha! to mój stary; (*Doktor wchodzi*) dobrze żeś Pan przyszedł.

D o k t o r.

Już pora, spodziewam się.

W a l e n t y.

Wychodzić z domu, a nie wracać:—dnieje.

D o k t o r.

Lekarz, mój kochany, nie rządzi swym czasem.

W a l e n t y.

A sługa lekarza powinien zerwać wszystkie związki z poduszką.

D o k t o r.

A toż znowu co?—któż to otworzył tę szafę?

W a l e n t y.

Pacyent, który sam sobie zapisał lekarstwo, szafę oderwał i flaszkę wyjął.

DOKTOR.

Któż?

WALENTY.

A któżby to śmiał zrobić? — Pan Wacław!

DOKTOR (*spiesznie przeziera flaszki*).

Niema: znalazł; — przewidywałem, — stary, powiedz, nie zażył; nic?

WALENTY.

Nic, nic; mówił tylko, że go tu, boli. — Przyciskał do piersi flaszkę jak plaster, jakby przez szkło mogło coś pomódz; gadał niewiedzieć co, i wybiegł jak waryat.

DOKTOR.

Kapelusz i laska!

WALENTY.

W imie Ojca i Syna! czas spać!

DOKTOR.

Nieszczęście nie śpi. (*wychodzi.*)

WALENTY.

Wybaczaj stary, teraz niezostanę i ciebie samego niepuszczę. (*wychodzi.*)

SCENA III.

(Pokój Hrabiego.)

Hrabia *(wchodząc chowa list).*

Nieoceniona Elizo! chcesz mi dadź przykład męztwa, chcesz mi dodadź odwagi, abym się ciebie wyrzekł; — o nie! nie dokażesz tego całą wielkością twej cnoty. — Każesz mi szanować twój pokój. — Niebój się, niema siły, któraby mnie do podłości skłoniła; — ale któż mi wzbroni użyć śrzodków, które sumnienia mego żadnym nie obciążą wyrzutem; *(przechadza się).* Jednakże, gdy się zbliża chwila stanowcza, jakiś niepojęty ciężar wali się na moje piersi: — co mi się zdawało rzeczą tak prostą, tak naturalną, potworną przybiera postać i całą budowę moich nadziei, jednėm dotknięciem wywraca. I w rzeczy samėj, mężowi, który swą żonę kocha, który wszystkiemi siłami duszy ją ogarnia, i radby przy sobie ją zatrzymać, powiedzieć: — oddaj mi ją, a w zamian masz pieniądze. — O! nie jestże to myśl występna? — Jażwięc przyszedłem do tėj konie-

czności?— Jaż więc nieczuję w sobie tyle mocy, abym się wyrzekł szczęścia, którego nie mogę nabyć bez zbrodni. Niepowinienżebym wydrzeć się z tego miejsca zaczarowanego jej wzrokiem; sto mil rzucić między nią a siebie, rozciągać przestrzenią bez granic tę nić, co nas wiąże, póty, póki się nie zerwie,—nie pęknie. Lecz z drugiej strony, jakież będzie ich życie?— czy ta ofiara wróci im pokój? — czy odda jej spojrzeniu dawny powab, jej pieszczotóm dawną pewność. Jej dusza pobiegnie za mną, a w ręku jego zostanie glina bez czucia, bez myśli, i tego przekonania nikt mu odjąć nie zdoła. Zle więc już się stało, już się nie powiększy.— Tak, to prawda, ale sprawcą tego złego jestem ja; rozumowanie moje prawdziwe, ale na dnie tej mądrości jestem znowu ja, i to jest właśnie trucizna, co mi piersi rozrywa. *(siada.)* A przecież rzeczy tak zostać nie mogą, im bardziej nad tém myślę, widzę, że innego śrzodka niema.— Chyba wyzwać i zabić! Ja! jego?— nigdy! bo i cóżbym zyskał?— Położyż ona swą rę-

kę na mojéj, gdzie będą ślady krwi męża, nigdy! . . . Co tam?

LOKAJ.

Pan Wacław.

HRABIA

(*Idzie do drzwi i wprowadza Wacława.*)

Chodź, chodź mój przyjacielu!

WACŁAW (*zatrzymuje się.*)

Za pozwoleniem. — Nasza przyjaźń, płód niedonoszony, konała długo i umarła wczoraj. — Dajmy jéj pokój. — Czego chciałeś? — jestem.

HRABIA.

Usiądź Wacławie! mówisz do mnie z goryczą, nie przeczę, zasłużyłem na wyrzuty. — Czuję się winnym. — Ale gdybyś wiedział ile mię kosztuje to, co ci mam powiedzieć, pomyślałbyś, jeszcze w sercu jego jest cokolwiek szlachetności, jest równie jak ja nieszczęśliwym.

WACŁAW.

Nic, nierównie.

HRABIA.

Proszę cię nade wszystko uzbrój się w zimną krew i słuchaj mię cierpliwie.

WACŁAW.

Byłem cierpliwym do podłości, i za to teraz słuszną karę odnoszę.

HRABIA.

Wacławie! twoja żona niewinna. — Gdybym był chciał ją uwieść, potrafiłbym może i ciebie omamić, i ją odurzyć, a zaspokoiwszy chwilową gorączkę, odrzuciłbym naczynie, które pragnienie moje zaspokoiło.— Ale ja żonę twoję kocham, jak ty pojmujesz, że ją kochać można.

WACŁAW.

Więc zabij mię i weź ją; — albo na BOGA, ja ci głowę roztrzaskam.

HRABIA (*niezmieszany*).

A twoje dzieci, Wacławie! Ty mię ukarzesz, prawo ciebie; ona nas obu nie przeżyje.

WACŁAW (*stłumionym głosem*).

Mów więc, czego ode mnie chciałeś? — Mów, mogę cię teraz słuchać cierpliwie, jak

cierpliwie dozwoliłem złemu wcisnąć się do mego domu, zatruć źrzódło mego życia, zagasić to ognisko, co oświecało ciche me ściany. (*rzuca się na krzesło.*)

HRABIA.

Kiedym ją raz pierwszy obaczył, uderzyła mię jéj piękność, pomyślałem: co za powab w jéj licu! jaki wyraz w tém spojrzeniu!—muszę ją poznać, będzie to nowa rozrywka dla nudnych godzin bogacza, które próżnowanie rozciąga bez granic, których cały blask rozrzutnego życia wypełnić nie zdoła.—Zbliżyłem się, poznałem, postrzegłem waszę mierność, starałem się byt wasz polepszyć, życie uprzyjemnić.—Użyłem całéj zręczności, całéj sztuki, abyście przyjmowali wszystko, co pochodziło z mojéj ręki.—A gdym postrzegł, że co miało bydź rozrywką, staje się występkiem, już było zapoźno;—ani widok waszego szczęścia nie mógł mię powstrzymać, ani walki uporczywe, którem z sobą staczał, uleczyć. Niepojęta siła ciągnęła oczy, skłaniała myśli, porywała duszę.—O! jakżem ci nie raz zazdro-

ścił! kiedy w tych rozrywkach, którem wam nastręczał, trzymała się twojego boku, zwieszała się na twojém ramieniu, wejrzeniem i uśmiechem wynagradzała ci przelotną jaką przychylności ku mnie oznaką; czułem wszystkie żądła zazdrości, a nie mogłem cię nienawidzieć. Przyszedł nareszcie stanowczy moment: — poznałem, że jej pokój, jej szczęście zgubione. Przyszedł moment: — Wacławie, bądź mężnym! — w którym przekonałem się; że ona mię kocha.

W a c ł a w (*zrywa się*).

Dowód! — jaki masz dowód?

H r a b i a.

Czytaj.

W a c ł a w.

(*waha się, nareszcie oddaje list nazad.*)

To nad moje siły.

H r a b i a.

Czytaj śmiało, gdyby ten list nie był cnoty jej dowodem, nie pokazałbym ci go.

W a c ł a w.

«Szanuj mój pokój i honor, unikaj mię, «zaklinam cię na wszystko co ci jest święte

«tém.—Henryku! kochałam cię, a nie oba-«czysz mię więcej: tyż mężczyzna, miał-«byś mniej mocy nade mnie?» — (*po chwili.*) O! to prawda, onaby nas obu nie przeżyła!

HRABIA.

Jakiż na to śrzodek?

WACŁAW.

Umrzeć!

HRABIA.

Jest trudniejszy, ale szlachetniejszy; bydź wielkim, bydź naszym przyjacielem, dobroczyńcą, twórcą naszego szczęścia. Wacławie! — oto masz zapisy dla twoich dzieci, pół milijona dla trojga; — A tu, tu pieniądze na rozwód. — Nie odpowiadasz?

WACŁAW.

Czy ci się zdarzyło kiedy słyszeć słowo stanowcze, przenikliwe, które tak brzmi w duszy, jakby brzmiał dzwon w uszach umarłego, gdyby go mógł słyszeć; słowo, którego echo przeciąga się póty, póki się ciągnie życie; wiąże się z każdém pulsu uderzeniem, z każdą myślą splata! Takich

słów jest niewiele, a przecież ty jedno z nich znalazłeś!

HRABIA.

Gdybym ja tylko kochał, gdybym ja tylko miał bydź szczęśliwym, piérwéjbym umarł, niżbym od ciebie podobnéj żądał ofiary.

WACŁAW.

Więc do jéj szczęścia potrzeba, aby nie była moją? — Prawda, rozwód konieczny, *(długo patrzy w ziemię)* — tak, i rozwód bydź musi. — Przyjmuję układ; gdzie są papiéry, dawaj; — czyście się już z sobą ułożyli?

HRABIA.

Wybaczam ci to pytanie, jesteś nieszczęśliwym.

WACŁAW.

O bardzo nieszczęśliwym!

HRABIA.

Ten list cię przekonywa, że o niczém nie wié!

WACŁAW.

Ten list mię przekonywa, że ona cię kocha: — rozwód — tak, inszego nie ma śrzod-

ka.—Czekam cię.—Przychodź,—przychodź prędzéj, bo ja sam nie wymogę na niéj zezwolenia.— Nie będę miał serca, nie będę miał odwagi powiedzieć jéj: przedałem cię za pół milijona. —Twoje spojrzenie, twój głos, twoja wymowa, prędzéj ją skłoni, aby stargała węzły co nas łączyły; aby, podawszy ci rękę, wyszła z domu i zostawiła za sobą męża bez szczęścia, dzieci bez matki.— (*wychodzi.*)

HRABIA.

W głosie jego dziwne jakieś brzmienie, sądziłem, że nie tak łatwo przystanie.— O Elizo moja!—nie;—ja cię nie opuszczę!— (*wychodzi.*)

SCENA IV.

(*Mieszkanie Wacława.*)

ELIZA (*sama*).

Już siódma;— miasto budzić się zaczyna po snie i odpoczynku do trosk i pracy.—Ja tylko nie mogłam snu przywołać.—Wraz

z pokojem duszy, z czystością myśli, zniknął, uleciał. — I robota nie idzie; — rwie się nitka, igła błąka się jak w ręku pięcioletniéj dziewczynki: *(odchodzi od okna i rzuca robotę)*; gdzież Wacław? Zaledwie odprowadził mię do drzwi, odszedł nie scisnąwszy za rękę, nie rzekłszy słowa.—Czy mi się marzyło, że go Henryk przyzywał?— dawniéj, gdyśmy z jakiéj zabawy wracali, z takiém upodobaniem opisywał mój ubiór, moje powodzenie, mój taniec.—Bo dawniéj śledził mię okiem miłości; dziś, ach! dziś ja na nię nie zasługuję. —Mogąż te uczucia szacunku i przyjaźni, jakie jeszcze w sercu mojém dla niego zostały, zastąpić miejsce miłości, jakiéj mu potrzeba, i do jakiéj ma prawo? — Boże! zmiłuj się nade mną. —Tu powinność, tam niepojęty powab ciągnie moje myśli. — Ale już się stało. — Dzięki Ci Boże, żem się zdobyła na tyle siły! — zerwany ten łańcuch kwiecisty, rozdarta czarująca zasłona, przez którą grzech i występek nabywały powabu niewinności. — Obaczyłam ich szkaradne oblicze i odwróciłam o-

czy — na wieki. O! przychodź Wacławie! przychodź mój mężu! odbierz ślub powtórny przywiązania i wiary od żony nawróconéj, —*(słucha)*— idzie, dawno z taką radością nie witałam przybywającego. — Dawne wrażenia wracają, może i dawniejszy pokój zawita pod ten dach cichy, i dawniejsze szczęście progi te przestąpi:—To nie on!

(Doktor wchodzi, siada zmordowany.)

E l i z a.

Dzień dobry ci, kochany doktorze; czemużeś tak zmęczony?

D o k t o r.

Już dwa razy byłem pode drzwiami waszémi; jeszcze nie wrócił?

E l i z a.

Wacław?

D o k t o r.

O kogoż mógłbym się pytać?

E l i z a *(schylając oczy)*.

Odprowadził mię do domu, sam odszedł nie wiém dokąd.

D o k t o r.

I tak cierpliwie go czekasz?

ELIZA.

Mamże przyczynę bydź niespokojną?

DOKTOR.

Maszże prawo bydź spokojną? — wieszże ile jedna chwila może zasiać niedoli?

ELIZA.

Przestraszasz mię; — wiedziałżebyś co?

DOKTOR.

Możeszże powiedzieć, że nic nie wiesz?

ELIZA.

Tak jest, w rzeczy samej, zdaje mi się, żem słyszała, wtenczas, gdy mi się słabo zrobiło, tam, gdyś był przy mnie, że go Hrabia wzywał do siebie.

DOKTOR.

Otoż to są skutki igrania z obowiązkami, których surowa świętość powinna wrażać uszanowanie. — Życie, moja Pani, jest to świątynia, w której bóztwo zawsze obecne nie cierpi obrazy. — Twój mąż nie wraca, i każda sekunda wydaje mi się coraz dłuższą, coraz nieznośniejszą.

Eliza *(porywa na siebie chustkę).*

Bądź zdrów doktorze.

Doktor.

Dokąd?

Eliza.

Pytasz mię? — Okrutni! Także to wam łatwo rozedrzeć serce kobiety!

Doktor.

Co zamyślasz?

Eliza.

Rzucić się między ich oręże, przez te piersi niech ich żelazo przechodzi, nim serce któregokolwiek z nich dosięgnie: — puszczaj mię!

Doktor.

Stój! — tam go nie ma — był, ale już go nie ma, powiadam ci.

Eliza.

A gdzież on? *(Wacław wchodzi.)* Jesteś Wacławie?

(Wacław odpycha ją zlekka od siebie i odwraca się.)

Eliza *(odstępuje).*

Biada mi!

Doktor (*odprowadza go na stronę*).

Miałżebyś się dopuścić jakiej zbrodni.

Wacław.

Elizo!

Eliza (*przystępując nieśmiało*).

Mężu!

Wacław.

Idź pożegnaj dzieci, — za chwilę wyjeżdżamy.

Eliza.

Dokąd?

Wacław.

Idź pożegnaj dzieci, — a zostaw nas. (*Eliza wychodzi płacząc.*)

Doktor.

Szaleńcze! wartbyś, abym cię samemu sobie zostawił!

Wacław.

Właśnie też sam sobie radzić zamyślam.

Doktor.

Żołnierz nosi przy boku oręż na obronę kraju, przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi; użyć go, wtenczas tylko ma prawo, gdy go społeczność upoważnia. — Ale szty-

let lub truciznę, czy na siebie, czy na drugich, nosi tylko przy sobie,—zabójca.

W a c ł a w.

Nie zawsze to prawda.—Więc już wiész, żem twoję szafę zbadał.—Była to myśl przelotna, dzika,—jak uczucia, które mną wtenczas miotały.— Przyjacielu mój!— dawny, jedyny, ty mię znasz i pojmujesz, że człowiek taki jak ja, nie mógł wówczas nie wpaśdź na jakieś przedsięwzięcie, pełne rospaczy.—Zamknięty w sobie,—od półroku więcej żując i trawiąc gorycz, wśrzód przymusu wyrzutów i poniżenia pędząc godziny walk i niepokoju, wczoraj stanąłem u kresu.—Postrzegłem, że pierś moja wezbrana, że boleść musi z brzegów swych wylać, lub ją rozerwać.— W takiej to chwili uzbroiłem się orężem, jak ty mówisz, zbójeckim.—Chociaż,— daruj, ja to uważam za lekarstwo,—wszak i wy go używacie.—Różnica tylko w ilości:—na chorobę ciała kilka gran mniej, na chorobę duszy kilka gran więcej.

DOKTOR.

Szalony!

WACŁAW.

Rzeczywiście, wówczas byłem blizkim szaleństwa; — ale uspokój się, mój dobroczyńco! już to przeszło: — przekonałem się, że jeszcze ratować się mogę, i postanowiłem chwycić się śrzodka, o którym mi kiedyś zdaleka napomykałeś. — O! porzucam to miasto, — oddalam się, — uciekam ztąd; — dokąd? — nie wiem. — Ale jak najdaléj od zgubnych pończt, które usidlają jéj cnotę.

DOKTOR.

Dzięki niebu! to była myśl moja: — spodziewam się, że ona wzbraniać się nie będzie. — Wreszcie znajdą się na to sposoby.

WACŁAW.

Nie będzie; — o tém nie wątpię; — ale dzieci z sobą wziąć nie mogę. — Podróż moja musi bydź szybka, tajemna, ty jeden tylko będziesz wiedział dokąd się udam i w jakim kącie ziemi wstyd mój zagrzebię. — Potrzeba mi na to całéj przytomności umy-

słu i twojéj pomocy, abym się dobrze ukrył przed czujną policyą kochanka, który ma wytrwałość i pieniądze.

DOKTOR.

Dobrze mówisz: — dobrze pomyślano!

WACŁAW.

Cóż dziwnego, zazdrość bieglejszą jest jeszcze od miłości; — idzie tu o mój honor. — O szczęściu już nie mówię: — to nie dla mnie! — Ale gdy rozbicie nieuchronne, rozsądek na tém, ady ratować, co się jeszcze ratować daje, aby nie stracić wszystkiego, chcąc ocalić wszystko. — O! cobym dał za to, gdybym mógł odzyskać te chwile słodkie, kiedy wracającego po pracy do domu, witała uśmiechem radości, przywodziła dowcipne dzieci swych słówka, pozwoliła położyć głowę na swych kolanach i tak odetchnąć, usnąć. — (*Kładzie rękę na czole.*) Był to sen, sny należą także do osnowy życia, i za nie także dziękować niebu potrzeba. — Teraz inne starania, przyjacielu, na tobie teraz wszystko polega.

DOKTOR.

Trzeba ci pieniędzy: — co mam to twoje.

WACŁAW.

Dziękuję ci; nieszczęście ma tę jednę dobrą stronę, że odkrywa serca prawdziwie przychylne. — Pieniędzy mam dosyć. — Wszakże poźniej, gdybym musiał dłużej zostać za granicą, udam się do ciebie.

DOKTOR.

I znajdziesz rękę moję otwartą.

WACŁAW.

Ale trzeba mi paszportu, dla nas obojga tylko i pod obcem imieniem. — Mnie nazwij jak chcesz, nie mam głowy teraz sam o tém myśleć, proszę cię tylko, abyś ją zrobił moją siostrą. — Tak łatwiej będziemy się mogli ukryć. — Związki twoje obszérne; ty jeden dokazać tego potrafisz.

DOKTOR.

Dobrze, dobrze, wyrobię.

WACŁAW.

Ale dziś, starcze! o gdybyś ty wiedział, jak to powietrze mię dusi!

D o k t o r.

Pojmuję: — będziesz miał paszport dziś jeszcze.

W a c ł a w.

Teraz jeszcze jedno dobrodziejstwo.

D o k t o r.

Mów, co? — wszystko.

W a c ł a w.

Opieka mych dzieci.

D o k t o r.

Ale to się rozumie: — będą mojémi.

W a c ł a w.

Oto pełnomocnictwo dla ciebie i dla tych, których ty mianować będziesz.

D o k t o r.

Na cóż ta formalność, myśliszże wcale nie wracać?

W a c ł a w.

Myślę nie wracać póty, póki trwać będzie niebezpieczeństwo. — Wreszcie, cóż można powiedzieć o jutrze? każda godzina jest nową falą, która może rozbić lub życie człowieka, lub jego pokój.

DOKTOR.

Wacławie, oddaj mi, co u mnie wziąłeś.

WACŁAW.

O gdyby mi kto oddał com utracił! — pozwól starcze, niech to lekarstwo zostanie przy mnie, nie użyję go, chyba wtenczas, gdy wszelki inny środek będzie bezskutecznym, gdy życie puste, samotne, stanie się ciężarem, przewyższającym me siły: — lub wtenczas: — bo na cóż ci mam ukrywać, gdy będę potrzebował zemścić się; — któż wić, może nas znaleźć — może mi ją porwać — uwieźć! — a wtenczas — o na BOGA! ja go znajdę.

DOKTOR.

Oddaj Wacławie!

WACŁAW.

Jeżeli pragniesz, oddam; ale patrz, oto wexel na 20,000 złł. — pokoju i szczęścia nie dostaniesz za pieniądze, ale trucizny, — wszędzie.

DOKTOR *(po chwili)*.

Wreszcie, — chociaż nie chciałbym, — ale

dajesz mi słowo, że tylko w ostateczności— nie, nie i to niegodziwość.

WACŁAW.

Śpiesz starcze,—jak wrócisz, oddam ci— wyprowadzisz mię za miasto, tam ci oddam, tam bezpieczniejszy będę, tam go nie ma.

DOKTOR.

Pamiętaj;— *(wraca)* a powóz masz?

WACŁAW.

Ha, nie myślałem o tém.

DOKTOR.

Weźmiesz mój, wygodny i mocny,— weź i uciekaj,—dzieci twych nie opuszczę;— ale będziesz pisywał często;— nieprawdaż?— czekaj, trzebaby jeszcze adres ułożyć:— to mi przyjdzie na myśl poźniej.— Do widzenia się. *(wraca)* Wacławie, mój poczciwy Wacławie! o jakbym chciał już witać cię spokojnym, i szczęśliwym. *(odchodzi.)*

WACŁAW.

Spokojnym i szczęśliwym! Spokojnym mogę bydź wkrótce, szczęśliwym? — nie wiém.—Poczciwy starcze! On dzieci mych

nie opuści.— *(Stawia dwa kubki na stole,— postępuje ku drzwiom)* Janie!

J a n *(wchodzi).*

Co Pan każe?

W a c ł a w.

Połowę tego lekarstwa wlej w którykolwiek z tych kubków, i obadwa napełnij wodą: *(oddaje flaszkę — odwraca się)* — czy już?

Jan *(spełniwszy rozkaz oddaje flaszkę)*
Już Panie.

Wacław *(opatruje flaszkę i chowa).*
Za wiele miesięcy jesteś niezapłacony.

J a n.

Za dwa Panie.

W a c ł a w.

Tu masz twoje zasługi: — idź teraz na pocztę i zamów mi konie.

J a n.

Czy Pan mię z sobą nie weźmie?

W a c ł a w.

Zostaniesz przy dzieciach, bądź wiernym i czujnym; — idź *(służący wychodzi, Wa-*

cław zbliża się do stołu i zakrywa kubki serwetą.) Czekam cię teraz, mój gościu: — igrałeś z mojém szczęściem, ja teraz poigram z twojém życiem, — a może i ze swojém, — mniejsza o to. — Ten sam los, który w kolébkę twoję włożył milijony, niech kieruje ręką, która wybiérać będzie.

ELIZA *(wchodzi)*.

Sam jesteś mój mężu?

WACŁAW.

Sam, zupełnie sam.

ELIZA.

Nie śmiém się do ciebie zbliżyć.

WACŁAW.

Oddajesz sobie sprawiedliwość.

ELIZA.

Byłam winną.

WACŁAW.

Byłaś!

ELIZA.

Byłam; — to chwilowe obłąkanie — wierz mi!

W a c ł a w.

Wiara, Elizo, jest jak honor, jak życie; — raz tylko stracić ją można.

E l i z a.

Więc już nie ma dla mnie nadziei.

W a c ł a w.

Dla mnie nie ma; — dla ciebie jest jeszcze.

E l i z a.

Bez twojego szacunku?

W a c ł a w.

Może nawet bez szacunku Hrabiego, ale w jego objęciu.

E l i z a.

O! jakżem nieszczęśliwa!

W a c ł a w.

A ja? — chociażbyś mogła do mnie należeć, któż mi odda szacunek twojego serca? — Zapomniałaś Elizo, że to jest najdroższy skarb, najkosztowniejszy posag, który żona przynosi mężowi. — Któż mi odda wiarę w twoję cnotę, kiedy dla płochego wielbiciela, co się kłaniał twoim wdziękóm, rozdarłaś serce męża, który czcił twoję duszę.

ELIZA.

Nie obaczę go więcej.—(*Hrabia wchodzi.*)

WACŁAW.

Oto jest: — nie jesteś moją.

ELIZA.

Wolę umrzeć!

WACŁAW.

Chodź, chodź Hrabio, dziękuję ci, żeś dotrzymał słowa. (*idzie do drzwi i zamyka na klucz.*) — Pomówcie z sobą, ja jeszcze pójdę dzieci obaczę. (*wychodzi.*)

HRABIA.

Co on ci mówił, Elizo!

ELIZA.

Co był powinien, opuść mię, odejdź!

HRABIA.

Masz już mieszkanie w klasztorze, póki nie nastąpi rozwód.

ELIZA (*z przerażeniem*).

Rozwód!

HRABIA.

On na wszystko zezwala.

Eliza.

O jak mi się w głowie mięsza! (*pada na krzesło.*)

Hrabia.

Miej litość nade mną!

Wacław (*wchodzi szybko*).

Okropny, rozdzierający widok! śpią, śpią tak cicho, jak gdyby aniołowie trzymali nad niémi opiekuńcze dłonie! na ich czole jasném pogoda i pokój, na ich licu kwitnącém rumieniec zdrowia i życia, na ich ustach różowych uśmiech niewinności. — O zwodzicielu, gotuj się, bo jeden z nas ztąd nie wyjdzie.

Hrabia.

Jestem gotów, ale dla czego zmieniasz układy?

Wacław.

Wiedziałżeś z kim miałeś do czynienia? więc, żem w milczeniu znosił twoje zabiegi, myślałeś, że sobie dam wydrzeć tę, która była dla mnie życiem, światłem, jedyném dobrem. — Znaleziony na ulicy, miłosierną ręką przygarnięty, nie znałem głosu ojca,

uśmiéchu matki, pieszczot siostry; — kochałem ją przywiązaniem dziecka, przyjaźnią brata, miłością kochanka i męża. — A tyś chciał, abym ci ją oddał za pieniądze? — Weźmiesz ją, ponieważ cię kocha, ale wraz z mojém życiem, — Elizo! dokonaj coś zaczęła. — W téj chwili obchodzi się razem dwa święta: — rozwód i ślub. (*odkrywa kubki.*) Oto uczta, bądź jéj gospodynią! w jednym z tych kubków jest trucizna, — wybiéraj, niech serce twoje kiéruje twą ręką: — może wybierzesz dla mnie.

E l i z a.

Zabij mię.

W a c ł a w.

Nie wahaj się, to musi nastąpić: — jesteście jeszcze w moim domu, ja tu jestem panem, i żadna siła z mojéj władzy was nie wydrze.

H r a b i a.

Tracisz rozum! Powiedziałem ci, żem gotów: — po co ją mieszasz do sprawy, która między nami dwóma skończyć się powinna. Chcesz? — zgoda: — wybiéraj broń.

WACŁAW.

To moja broń (*wskazuje na kubki*).

HRABIA (*chwyta jeden i pije — Eliza wydaje krzyk, wyciąga rękę, chce zatrzymać rękę Wacława, traci siły i pada na kolana.*)

WACŁAW.

Teraz na mnie kolej. (*wypija.*)

(*Hrabia i Wacław patrzą długo na siebie w milczeniu, Eliza modli się i niekiedy z przerażeniem na jednego i drugiego pogląda.*)

HRABIA (*poważnie*).

Chciałeś, stało się: — któremuż z nas śmierć przeznaczona?

WACŁAW.

Nie wiém.

HRABIA.

Podaj mi rękę Wacławie — Zbiegliśmy się w jedném uczuciu, nie rozstawajmy się jak nieprzyjaciele: — jeżelim ja śmierć połknął, niech twoja nienawiść nie towarzyszy mi za grobem.

Wacław.

Jeżeli ja umrę, pragnę ponieść do grobu wój szacunek. — Oto twój zapis (*rozdziera o.*) Nie chcę, abyś myślał, żem był w stanie przedać honor żony; żem mógł pragnąć, aby dzieci moje były bogatémi hańbą swéj matki. — Przebacz mi, ona warta, aby ta chwila była dla jednego z nas ostatnią.

Hrabia.

Daj mi pióra i papiéru Wacławie: — los dał mi czém rozporządzać.

Wacław.

Będziesz miał dość czasu. — Ja to podobno idę przed sąd tego, co widział moję boleść. — Oh! (*pada na krzesło.*)

Eliza (*zrywa się*).

Wacławie, Wacławie, coś ty uczynił?

Wacław.

Elizo! o jakże ciężko rozstawać się z tobą: — maszże ty odwagę? — tu jest jeszcze (*podaje truciznę.*) (*Eliza porywa ją i wypija.*)

Hrabia (*Chciał ją wstrzymać z rospaczą*)

Zapoźno!

ELIZA.

Dziękuję ci Wacławie, żeś uwierzył w mą cnotę.

HRABIA (*ponuro*).

Do tegoż więc przyszło! i ja jestem waszym zabójcą. — O przeklęta godzino!

WACŁAW (*przyciska jéj rękę do piersi*).

Bądź zdrów Hrabio; nie sprawiłeś tyle złego, iłem rozumiał. (*kona.*)

ELIZA.

Skończyłeś! — pokój twojej duszy! — wkrótce pójdę za tobą — żona dopełniła swej powinności; teraz kolej na matkę. — Henryku! nie patrz tak okropnie. — Także to straszne dzieło, aby tobie, mężczyznie, odbierało odwagę, gdy tyle powinności przed tobą? — Henryku! kochałam cię! w téj uroczystéj chwili ci to wyznaję: — oto moja ręka Henryku! (*całuje go.*) — To uściśnienie twej żony; — a tam, twoje dzieci! (*pada na kolana przy zwłokach męża.*)

HRABIA.

Tam moje dzieci!

SPIS RZECZY

PODŁUG IMION AUTORÓW.

KONIEC.